№ 28. Warszawa, dnia 24 Marca / 5 Kwietnia 1872 roku. Tom I. — Rok I.

WIENIEC

PISMO CZASOWE ILLUSTROWANE

WYCHODZĄCE DWA RAZY NA TYDZIEŃ.

Prenumerata w Warszawie:
We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie: rocznie rs. 5 kop. 40, półrocznie rs. 2 kop. 70, kwartalnie rs. 1 kop. 35, miesięcznie kop. 45.
Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:
Rocznie rs. 8, półrocznie rs. 4, kwartalnie rs. 2.

Wydawca Hipolit Orgelbrand.

Expedycya główna w Warszawie, ulica Bednarska N. 20.

W Cesarstwie Austryackiem: we Lwowie u Seyfartha i Czajkowskiego kwartał: flor. 3 cent. 25; na prowincyi z przesyłką pocztową, flor. 3 cent. 7..
W Krakowie w księgarni wydaw. dzieł tanich i pożytecznych, kwartalnie: flor. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 52.
W W. Ks. Poznańskiem: u F. H. Richtera. kwartalnie tal. pr. 1 sgr. 22½. na prowincyi z przesyłką pocztową tal. 2 sgr. 7½.

WYCHOWANIE KOBIET.

Na żadnym z wieków poprzednich nie ciążyło tyle spraw i zagadnień społecznych, co na drugiéj połowie dziewiętnastego wieku. Nic téż nie znamionuje bardziéj gorączkowéj ruchliwości, a przytém, nic tak nie odsłania słabych stron jego, jak to mnóstwo zagadnień czyli jak je nazywamy ogólnie *„kwestyj”* społecznych. Nie ma literalnie ani jednéj gałęzi oświaty, ani jednego zakątka niwy społecznéj, któraby nie miała swéj „kwestyi”. Wszystko zamieniło się dzisiaj w kwestyą: religia kwestyą, moralność kwestyą, indiwiduum kwestyą, państwo kwestyą, społeczeństwo jako organizm kwestyą, własność kwestyą, stosunki międzynarodowe kwestyą—słowem gdzie się obrócim, wszędzie „kwestye”, wszędzie znaki zapytania.

Sama niwa społeczna ma zagadnień bez liku. Z tych najżywiéj nas obchodzi obecnie sprawa wychowania kobiecego. Ludzkość stoi dziś w tak kłopotliwém stadyum, że środki oświaty i wychowania nie odpowiadają zgoła prądowi postępu; postęp i dociekanie rozumu ludzkiego zalały nas tylu nowemi potrzebami, że reformom na samém tylko polu pedagogiczném nie ma końca. Do sprawy wychowania powszechnego przybyła między innemi np. kwestya kształcenia kobiét na nauczycielki, i już niejednokrotnie stawiano pytanie: czy kobieta zdolną jest pełnić obowiązki nauczyciela publicznego i czy dotychczasowe jéj prace w tym zawodzie każą się spodziewać dobrych plonów z téj niwy powierzonéj w pewnéj mierze i kobietom. Że kobietom trzeba będzie odstąpić koniecznie znaczną część wychowania publicznego, o tém nikt dzisiaj nie wątpi; dotkliwy brak nauczycieli, mianowicie elementarnych, sam się tego doprasza. Mężczyźni bowiem zaczynają szukać chleba po innych korzystniejszych stanowiskach, a pole wychowania publicznego i prywatnego zaczyna pomaleńku tracić robotnika, i w końcu przyjdzie zapewne do tego, że kobieta, dla któréj dotąd bezskutecznie prawie szukano pozycyi w pracy społecznéj, będzie musiała przyjąć na siebie połowę wychowania.

Ale zanim przyjdzie do téj wielkiéj reformy, zanim postęp XIX-go wieku otworzy kobiecie swe podwoje do poważnych zajęć i stanowisk w społeczeństwie, postawmy tu raczéj pytanie, czy dotychczasowy system wychowania kobiecego upoważnia nas do jakichbądź wniosków o przyszłości kobiety?—i daléj: czy zamiast przerażać siły i rozum na fantasmagorye emancypacyi, nie należałoby raczéj pomyśleć seryo nad tém, *jak usunąć starą, płytką i niedorzeczną rutynę wychowania kobiecego i zastąpić ją nową, zgodną z potrzebami czasu i przeznaczeniem kobiety w rodzinie i społeczeństwie?*

Na zapytanie: czy po dotychczasowéj metodzie kształcenia kobiet można się spodziewać zdrowych i postępowych rezultatów, odpowiadamy, że nie. Naukowe wychowanie i uzdolnienie kobiet jest obecnie żadne: ni całość, ni cząstka z tego, co być powinno; same pozory. Niczego to jeszcze nie dowodzi, że Ameryka powołuje kobiety na kapłanów i deputowanych, że Anglia i Szwajcarya wydają kobietom dyplomy doktorskie, że Francya darzy złotemi medalami, że mamy między kobietami lekarzy, prawników, nauczycieli i urzędników, słowem, że kobiety zaczynają myśleć o sławie i chlebie powszednim— to zwyczajny bieg rzeczy, to walka o byt. Mamy nawet osobne szkoły dla kobiet, mamy stowarzyszenia pedagogiczne i filantropijne złożone wyłącznie z kobiet, ma i piśmiennictwo pomoc w kobietach — wszędzie ruch i życie, wszędzie teorya o pracy kobiecéj przechodzi pomału w wykonanie. Bardzo to i piękne i dobre—ale nic to nie pomoże i na nic się nie zdadzą dobre chęci ogółu dla sprawy kobiecéj, dopóki przyszłe wychowanie nie zacznie swego *„a b c”* „od ugruntowania *myśli i rozsądku* kobiety. O brak tych czynników wychowawczych rozbić się muszą wszystkie inne środki i reformy. *Umieć myśleć jasno, poważnie, z trzeźwym i chłodnym na rzecz poglądem*, to pierwszy fundament i ostateczny cel wychowania kobiecego.

Lubim tak często powtarzać za drugimi, że rozum i serce kobiety należą do najsłabszych istot na świecie i że jedynym motorem i regulatorem umysłowego życia kobiet jest uczucie. Prawda. Ale nie może być inaczéj, bo wychowanie dotychczasowe dąży właśnie do tego, ażeby uczucie i serce kobiece brało zawsze górę nad myślą i chłodnym rozsądkiem. Uczuciem i sercem kieruje się kobieta we wszystkich potrzeba życia: tam jéj rozum cały, tam jéj igła magnesowa. Gdybyśmy zatém począwszy od piérwszych lat kobiety zwracali głównie uwagę naszą na rozwój rozumu i ugruntowanie trzeźwego rozsądku we wszystkich kierunkach i objawach życia, gdybyśmy na tych dwóch filarach wiedzy ludzkiéj zechcieli i w dalszych fazach życia kształcić córki nasze, pewnieby lada burza sercowa nie tryumfowała z taką łatwością nad głową kobiety. Kiedy kobieta dla braku gruntownéj nauki i pomocy rozumu wyczerpuje od razu środki swego bytu i w rozpaczy lub nędzy trawi żywot bolesny; kiedy młoda dziewica pada ofiarą szału i zaślepienia miłosnego, kie-

dy na męża obiera pierwszego lepszego mężczyznę i pomimo zdrowych rad przyjaciół pracuje sama nad ruiną swego własnego szczęścia; kiedy matka w wychowaniu dzieci popełnia błąd za błędem i w najlepszéj wierze dowodzi z zapałem, że jest najwzorowszą matką w świecie; kiedy młoda kobieta staje się niewolnicą mody i w kilku szmatkach widzi ideał szczęścia i zadania swego w społeczeństwie; kiedy sędziwe matki i matrony nasze zdolne są jeszcze wierzyć w czary i przesądy: to źródłem wszystkich tych grzechów i klęsk moralnych jest nie co innego, jak fałszywy kierunek wychowania kobiecego, głównie atoli: brak racyonalnéj metody w systematyczném kształceniu rozsądku! Tego braku, téj strasznéj luki w umyśle kobiety nie osłoni pozorami żadna choćby najpoważniejsza affektacya wielkich rzeczy, żaden talent, żadne choćby w trójnasób wymowne pióro lub słowo kobiety. Żyliśmy pozorami dosyć długo; ale nie idzie zatém, żeby metoda złudzeń i cacek w wychowaniu kobiety miała być normą i nadal. Jeżeli dziś córki światlejszych lub zamożniejszych rodzin celują mnóztwem drobiazgów naukowych; jeżli szczebiocą wcale nieźle po francuzku lub angielsku; jeżli grać i rysować umieją cudownie — wszystko to pozostanie tandetą i szychem bez wartości, a chluby nie przyniesie żadnéj ani dziecku ani rodzinie, jeżli na dnie tego powierzchownego bogactwa nie będzie fundamentu *z myśli i rozsądku*. Gdzie niema *sądu*, tam bogactwo takie na nic. I niedziw, że pomimo pracy i kosztów wyłożonych tak obficie na ukształcenie kobiety, ród niewieści podnieść się nie może jeszcze do wyżyn myśli i samodzielności; kobieta nauczyła się wymijać troskliwie każdy choćby najmniejszy szkopuł pracy poważniejszéj; prawdy życia powszedniego pochwycić nie może i kiedy dotrze przypadkiem do granic, gdzie się poczyna twarda praca myśli i samodzielności, cofa się wylękniona na dawne mielizny, bo czuje instynktowo, że jéj nie dano środków potemu, by sprostać wszystkim warunkom rzeczywistości.

Czas doprawdy, aby ci, co stoją na czele wychowania kobiecego, pomyśleli stanowczo i seryo o zwrocie do nowych środków i metód, zdolnych wyrugować z dotychczasowego wychowania dziewcząt i dziewic dorosłych te tandetę wiedzy, ów system złudzeń i pajęczyn niby-naukowych, niby-gruntownych, niby-wszechstronnych, pięknych i gładkich, lecz w realnych potrzebach życia tak niedostatecznych, błahych, i tak boleśnie nieraz uwodzących zarówno kobietę jak mężczyznę!.. Czas, mówię, otworzyć kobietom podwoje do świata myśli i wiedzy gruntownéj; czas otworzyć im oczy i rozum na to życie pełne tylu twardych warunków i pokus. Ze świata marzeń niech zejdą do poziomu rzeczywistości — niech pracują *rozumem*, a idyotkom niepoprawnym zostawią emfazę i świat pustek.—

Od czego zacząć i jakich zasad trzymaćby się należało w reformie wychowania kobiecego, o tém pragniemy powiedzieć słów kilka.

Przedewszystkiém powinniby nauczyciele i rodzice nasi pozbyć się raz na zawsze téj odwiecznie staréj i błędnéj zasady, jakoby dziewczęta nie potrzebowały tyle się uczyć i tyle myśleć co chłopcy... Pomyłka okropna i w skutkach nie do powetowania! Na umysłowe wykształcenie chłopców gotowiśmy wyłożyć całe mienie; dajemy im wszystko, cokolwiek nauka i świat dać mogą; nie załujemy nawet grosza ostatniego. A dla dziewcząt? dla nich wystarczy pierwsza lepsza bona mało-co światlejsza od pokojowéj; wystarczy kilka luźnych lekcyj udzielanych naprzemian to przez matkę, to starszą siostrę, to ciocię rezydentkę, a w najlepszym razie przez mierną nauczycielkę; wystarczą nareszcie szkoła miejscowa, tania pensyjka, wystarczą nakoniec dla córki na wydaniu zabawy i nudy domowe, kilka powieści, ołówek, fortepian i tym podobne suplementa naukowe, bo i o cóżby tam jeszcze chodzić mogło w wychowaniu *dziewczęcia?..* Doprawdy za mało. To dziewczę ma być matką, ma dzieci wychowywać, ma im dać pierwszy wiatyk na drogę życia, położyć pierwsze cegiełki do fundamentu ich przyszłości, ma zarysować w ich sercu pierwsze linie charakteru — nie potrzebaż więc do tego czegoś więcéj nad luźne wiadomostki z życia potocznego? nie trzebaż tu nauki i powagi, twórczości i siły własnego charakteru, słowem, głębokiego rozsądku i jasnego na świat poglądu?

Słusznie powiedział niepomnę który z filantropów, że tak jak dziś rzeczy stoją, lepiejby było może na świecie, gdyby wszystkie starania i koszta, które łożymy na wykształcenie chłopców, obrócono na gruntowne wychowanie dziewcząt. I gdyby nawet tylko na sferze pożycia domowego poprzestać wypadło, to czyż kobieta gruntownie wykształcona nie pokieruje lepiéj swojém domowém gospodarstwem od kobiety ograniczonéj?

Za przesądem, że dziewczę nie ma potrzeby myśleć i pracować tyle co chłopiec, idzie druga fałszywa i niemniéj szkodliwa zasada. Są ludzie, są rodzice, którzy dowodzą, że dziewczętom należy *ulatwiać* pracę naukową. Wykład ma być miły, nadobny, słodki, lekki. Przedmiot każemy im pokazywać z najbarwniejszéj strony; dzieje ludzkości ukazujemy im w anegdotkach i lekkich scenach z życia miernych jednostek; w religii apelujem tylko do serca i uczucia — lecz o życiu, o rzeczywistości, o ciężkich pokusach świata systematyczne zachowujemy milczenie; nie chce nam się obrazić uszu niewiniątek, pomimo że potém o te uszy tyle scen życia obić się musi... Co w téj metodzie jest najgorszego, najzgubniejszego, to ów system cukrzenia każdéj rzeczy, każdego słówka; rzeczywiście, to najpewniejszy sposób uśpienia wszystkich władz ducha i porzucenia resztek rozumu między scyllę i charybdę *uczuć i fantazyi*. Marzycielskie usposobienie kobiet naszych zkądże pochodzi, jeżli nie z przyczyn, żeśmy pominęli w rachunku sprawę z rozumem, żeśmy go wykreślili z rubryk wychowania kobiecego? Temu marzycielstwu dopomagają niestety czasopisma kobiece. Ton tych pism jest tak słodki, tak pieściwy, tak czaruje i płynie a płynie sferami ideałów, że czas byłoby zaiste zmienić tę nutę na inną i zacząć po ludzku głosić prawdę życia. Nauki chcemy jasnéj i prostéj, słów chcemy trzeźwych, rad i wskazówek zdrowych, dających się zastósować w każdéj potrzebie;—sentymentalizm jest największym wrogiem kobiet: kwas ten podgryza ostatnie włókna rozsądku, który już i tak siedzi jak na komorném w wychowaniu kobiety.

Ale i szkoła ma tu niełatwe do spełnienia zadanie. Cały dotychczasowy system, cały plan wykładu szkolnego należy z gruntu zreformować a na pierwszych kartach jego zapisać cztery godła pracy naukowéj: *rozsądek, samodzielność, trzeźwość i praktyczność*. Trzeba się wyrzec koniecznie zabójczéj połowiczności, tych półsłowek, półprawd, półśrodków wykładowych, słowem, tego gruzu niby-naukowego, pod którym zarodki rozsądku razem z celem życia udusić się muszą. Edukacya kończy się odrobinkami wiedzy, nie powiązanemi żadną przewodnią i jasną myślą, żadną zasadą, żadnym celem życia. Do niedarowania jest tu mianowicie zwyczaj połowienia i kaleczenia prawdy i przedmiotów niektórych, ażeby je zrobić niejako przystępnemi dla dziewczęcéj natury. Jestto procedura z gruntu fałszywa, nienaukowa, a książki i kajety, które w ten sposób traktują swoje przedmioty, powinny być wycofane z kursu, bo są tém szkodliwsze, im lżéj i powabniéj na rzecz poglądają. Zamiast gieografii dają ci opisy romantycznych dolin i czarujących ustroni, w których nie usłyszysz ni głosu ludzkiego, ni gwaru życia powszedniego—jakgdyby świat boży składał się z samych rajów nadziemskich. Zamiast historyi dają ci powabne sceny z życia dziewic Orleańskich lub nowszych heroin francuzkich; natomiast Hannibale, Aleksandry i Napoleony zostawiają się chłopcom—jakgdyby Bóg stworzył inne dzieje dla chłopców a inne dla dziewcząt. Z botaniki uczą kwiatków co najwonniejszych — jak gdyby botanika dębów i krzewów polnych była przeznaczona tylko dla męzkiego umysłu. Zamiast poezyi podsuwają grę słówek i rymów cudownie pięknych, czarujących, lgnących do pustych główek bez mozołu i pracy ducha; a ponieważ umysł młody prędko się stępia na tego rodzaju słodyczach, podsuwają mu coraz słodsze i rozkoszniejsze pieśni i dumki, aż stępiony ze szczętem umysł dziewczęcia, nie znalazłszy nigdzie śladów życia i ducha ludzkiego, szuka ich ostatecznie w utworach Sue'go. Nawet religia osobno się dla dziewcząt redaguje: artykuły i prawdy wiary sortują się drobnemi paluszkami, by nie urazić broń Boże! uszu dziewiczych; a kiedy późniéj pochwyci kobietę wir życia powszedniego, kiedy przyjdzie stawić rozum i czoło pokusom i przeciwnościom, brak jéj wtenczas sił do walki, i upada wzgardzona i kamienowana nieraz nawet przez tych samych, co tak systematycznie pracowali nad wytworzeniem pustek w jéj głowie i sercu.

Taka metoda nauczania wychodzi na jedno z klątwą, rzuconą na kobietę dla tego tylko, że jest kobietą. Jestto metoda, nie wydająca żadnych zgoła owoców—metoda plew i resztek naukowych, porzuconych w szybkim pochodzie przez szkoły męzkie.

Powtarzamy: głównym celem, głównym punktem, do którego szkoła i wychowanie domowe dążyć powinny zdwojonemi siłami, jest *rozsądek, samodzielność, trzeźwość i praktyczność w życiu*. Myśl jasna, trzeźwa i praktyczna, sąd jasny i wytrawny w sprawach dotyczących społeczeństwa, religii, historyi, umiejętności, piśmiennictwa i oświaty powszechnéj, to oś, na któréj obraca się życie nasze i obracać się powinno także wychowanie kobiet. Oś ta, przeniesiona do szkół żeńskich i ognisk domowych, zmieniłaby od razu stanowisko kobiety, i tak jak nie mówimy dzisiaj o emancypacyi mężczyzny, tak nie mówilibyśmy nigdy o potrzebie emancypacyi dla kobiet.

Emancypacya kobiet wyjść musi *ze szkoły*, a nie z lamentów zawodzonych bezpożytecznie po mitingach, prelekcyach i pismach peryodycznych.

Ale zapomniałem pono *o sercu* kobiecém— o tém rzewném wylaniu i poświęceniu dla drugich, o heroiczném znoszeniu cierpień, o pokorze i podniosłości ducha, słowem, o tych wszystkich klejnotach serca kobiecego, któremi się umysł męzki nie zawsze pochlubić potrafi. Owszem, oceniam je na równi z nauką — ale nikt mi nie zaprzeczy że perłą, że koroną tych wielkich przymiotów duszy jest — *rozsądek i gruntowna nauka*. Wszędzie, czy na wielkim świecie czy w skromnym domku, niepodobna wyżyć godnie bez pomocy rozsądku i trzeźwego na świat poglądu; pod ożywczém ciepłem tych dwóch czynników wychowania kobiecego nie będzie potrzeba snuć marzeń o lepszéj przyszłości; każda chwi-

la, dobrze i szczęśliwie przeżyta, jest już sama w sobie przyszłością. *August Jeske.*

HEROD-BABA

OPOWIADANIE DZIADKA

spisane przez

J. I. KRASZEWSKIEGO.

(*Ciąg dalszy. Ob. Nr. 27.*)

W ten sposób Borodzicz wyrobił nareszcie na nim obietnicę wyjazdu po spłaceniu długów, których obrachunkiem natychmiast zająć się było potrzeba. Nie było to łatwo, gdyż Piętka dawał kwitki nie zawsze czytając co podpisuje, a lichwiarze z tego korzystali.— Gdy do rachunków przyszło... okazały się należności znaczne... ale wziąwszy sobie niemca do pomocy, Borodzicz zręczny przedstawił wierzycielom że Piętka krwią pluł, a gdyby zmarł, nierychłoby do swego przyszli, że majątek był odłużony, daleko, a bez procesu kosztownego się nie obejdzie. Ponieważ i gospodarz z pod Trębacza świadczył o chorobie, a twarz o niéj najlepiéj powiedziała— zmiękli wierzyciele i przystąpili do układów. Borodzicz zapaśne pieniądze miał: płacił talarami i obrączkowém złotem. Gotówka ta wymownie do serc przemawiała... Zygmuś do niczego się nie mięszał, patrzał sobie zdaleka i drwił z niemiuszków... Drugiego dnia Dziemba oznajmić przyszedł, że w gospodzie już jejmości nie było, gdyż ze stryjem Eligim *summo mane* wyruszyła, o czém nawet Borodzicz nie wiedział, pociągnął za nią i Wojewoda z karłami...

Wierzyciele jednak nie mogli być tak rychło pozaspokajani, a kłopotu było z niemi podostatkiem, musiano parę dni posiedzieć jeszcze... Zygmunt kupiwszy nie brzydki wcale naszyjnik także z granatów, zawiózł go Fifinie i pożegnał ją jak dobrą siostrę... widząc jak nad nim płakała... i jego kaszlem się trwożyła... Resztę czasu leżał lub chodził po izdebce, do niczego wielkiéj nieokazując ochoty. Milczący był, a jeśli usta otworzył, nielitościwie szyderski... Dziembie takie nauki dawał, że byłoby się chłopcu żyć całkiem odechciało, gdyby je brał na seryo... Naostatek Borodzicz niemało się napociwszy, i spisawszy ogromną cedułę summ, które poplacił... w któréj ze czterdzieści razy, *ytem*... stało, za najosobliwsze kupna i sprawunki... odetchnął oznajmując że wszystko zregulowane było, i że jechać mogą.

— Wieźże mnie, jak wola i łaska, rzekł Piętka — tylko pozwól, ażebym na wyjezdném jeszcze jeden święty dług oddał...

— Komu? czyż jeszcze? strwożony zawołał Borodzicz.

— E! to nic! ja go sam i to pięścią zapłacę, dodał Zygmunt — należy się bowiem gospodarzowi z pod Trębacza pamiątka, karmił mnie w czasie przednowku śmierdzącą świniną, bestya... tego mu darować nie mogę...

Ostatnią tę należność na wyjezdném sumiennie oddawszy kłaniającemu się Niemcowi, Piętka siadł z Borodziczem na wóz i pożegnał niefortunne miasto, w którém pono życie całe w kilku miesiącach wyszafował... Byli na moście, gdy spotkali jakby naumyślnie w téjże godzinie wyruszającą tamże całą kompanię francuzkich skoczków na jarmark do Lipska. Duparc po dniu wyglądała na harpię, a Fifina na poczciwą dziewkę folwarczną... Laroche i jego towarzysze na komedyantów Scarron'a.. Postrzegłszy Piętkę, Duparc pokazała mu koniec języka... Fifina pozdrowiła go od ust, Francuzi przypatrywali się niezwykłym zaprzęgom i strojom towarzyszów Zygmunta... Jakiś czas jechali obok, potém drogi rozeszły się jedna w prawo, druga w lewo... Piętka już się nawet nie odwrócił... Jechał chmurny a milczący, co mu się trafiało rzadko, pokaszliwał tylko i niekiedy czuł w ustach smak krwi, która za najmniejszém wzruszeniem i znużeniem na nowo się pokazywała. Borodzicz miał dosyć kłopotu z przewiezieniem go do Krakowa, kilka razy w drodze stawać z nim będąc zmuszony, bo sam widział, że Piętce podróż nie służyła i spoczynku potrzebował. Przeciągnęło się też to dosyć długo, i pierwszych dni jesieni dopiero stanęli w cichéj, dawnéj stolicy, dosyć pustéj i wyludnionéj. — Na Zygmunta już sam widok tych miejsc, które mu przypominały jego wyjazd i dawne życie, przykre widocznie czynił wrażenie. Zaledwie przybywszy położyć się musiał — a że Borodzicz do domu śpieszył, pozostał tu sam z Dziembą, w stanie zdrowia o wiele gorszym niż był wyjechał. Lekarz, którego przywołano, radził spoczynek i przepisał gorzki napój jakiś, którego Piętka pokosztowawszy używać nie chciał. — Znaleźli się starzy znajomi, mógł się więc cokolwiek rozerwać, ale od wszystkich unikał. Całe dni siedział na stołku w oknie i na przechodzących poglądał... albo na Dziembę gderał. Tak zmienionego do niepoznania — porzucił Borodzicz z żalem, śpiesząc do swojego gospodarstwa i wioząc pełnomocnictwo do sprzedaży... Szczęśliwie stanąwszy w miejscu, chciał zaraz wywiedziawszy się użątku i stratach, jakie poniósł, jechać do Mioduszewskiego, gdy ten, napytawszy od ludzi że powrócił — sam konno do niego przybiegł.

Uściskali się w progu.

— Ot toście tam piwa nawarzyli! zawołał Mioduszewski...

— Czyż ja? odparł Gracyan... Com zrobił, tom musiał. — Gdzież jejmość, czy w domu?

— Jako żywo! pojechała wprost do rodziców, nie chcąc progu przestąpić nawet, zawołał Mioduszewski.

— Piętka też nie myśli wracać — a wieś na sprzedaż...

— Kto ją teraz kupi!

Jęli tedy rozmawiać długo, bo było o czém, a Mioduszewski wzdychał tylko nad losem nieszczęśliwego domu.

— Myślicie że się nie pogodzą? spytał w końcu.

— Bardzo wątpię żeby do tego przyszło... a przynajmniéj się nie zanosi — rzekł prędko Borodzicz. Koło Zygmunta źle...

Namyśliwszy się niedługo ruszył Gracyan do jejmości do państwa Okoniów, kędy ją miał zastać. W istocie w ganku zapytawszy o nią, dowiedział się, że była od dni kilku... Stryj Eligi przybywszy, zwolniony od ciężkich obowiązków opiekuna przy synowicy, wylegiwał się w swém mieszkaniu, opowiadając kto się mu nadarzył, o wypadkach nieszczęśliwéj podróży. Materyału do gawędy starczyło mu na całe życie. Wpadłszy do mieszkania, Borodzicz zastał tylko starego Okonia, który się przechadzał po izbie, ciągając wąsy.

— Cóż mi tam asindziéj przynosisz? zapytał.

— Nowego nic! westchnął gość chmurny; wszak pani Piętkowa tu?

Ojciec ramionami ruszył.

— A tu! wróciła i —powiem asindziejowi, nierozumiem téj całéj sprawy! Nie chce do domu! Gdzież Piętka?

— W Krakowie, bo też do domu nie chce... Na te słowa, czarno ubrana weszła Elżusia, piękna zawsze, ale wielce zmieniona i bledsza a mizerniejsza niż kiedy... P. Gracyan przywitał ją uniżenie.

— Właśnie pytałam jegomości o Zygmunta; co się z nim stało?... Jest w Krakowie?

— Tak, przywiozłem go gwałtem, odpowiedział Gracyan — ale bardzo chorego... krew mu się w podróży rzucała często... Smutny i zbiedzony do niepoznania. Do domu go namówić na żaden żywy sposób nie mogłem... został w Krakowie, a wioskę za cobądź sprzedać mi kazał.

Okoń ręce załamał i starą głowę spuścił na piersi.

— Któż to tam kupi?

— A no, kupujcie wy, albo raczéj pomóżcie jejmości do kupna... Zygmunt ceny wysokiéj nie zakłada, pani ma posag, ja mojéj należności zaczekam... trochę trzeba pieniędzy dla Piętki, a inne interesa pozostaną przy gruncie.

Nie było na to odpowiedzi, bo ojciec Elżusi nie zwykł był interesów robić pośpiesznie — namyślał się i ważył — Elżusia nie odzywała się.— Zaproszono tylko Borodzicza, ażeby pozostał dla narady.

Cały dzień zeszedł na gawędzie ze starym, który długo rozprawiać lubił o każdéj rzeczy— do czego się Elżusia nie mięszała. Zaczęto rachować na papierze ile wioska była warta, za ile ją kupiono, ileby potrzeba gotówki... Zeszedł dzień na tych projektach. Wieczorem Borodzicz znalazł się na chwilę z Elżusią sam na sam w pokoju.

— Pani moja, rzekł — czy też się już nie dasz ubłagać temu biedakowi? Żebyś go zobaczyła! żal się obcym robi, taki sponiewierany i nieszczęśliwy, życie mu obmierzło... a dalipan szkoda jego i—szkoda was...

— Słuchaj panie Gracyanie, rzekła Elżusia: nie myślcie, że ja serca nie mam, żal mi go,—ale z życia łatanego nic nie będzie. Padnie mi do nóg, przeprosi — myślicie, że się poprawi? Pozdrowieje, odejdzie i do dawnego wróci... Jam się z mojém szczęściem pożegnała, a człowiekowi co mi życie zatruł całe — ciężko, wierz mi, bardzo ciężko przebaczyć!

Rzuciła ręką...

— Jemu źle, panie Gracyanie — ale i dla mnie nie ma szczęścia na tym świecie. Jam go kochała, ja drugiego kochać nie potrafię... ja także jestem zabita...

— A! pani, szepnął Borodzicz — skruszonym i pokutującym sam Pan Bóg przebacza...

— Bo to Pan Bóg — odpowiedziała żywo Elżusia—a jam kobieta słaba, biedna i śmiertelna....

Cóż tu było rzec? Borodzicz zmilczał, ale nie ustąpił.

— Nie będę ja go tłumaczył ani uniewinniał, ozwał się — a no to jejmości dobrodziejce powiem, że w nim serce lepsze niż głowa. Do niego zastukawszy zawsze się coś odezwie; panibyś z niego mogła uczynić człowieka. Naukę wziął dobrą, zbrzydło mu bałamuctwo, statkować będzie...

— Wyście zacnym i poczciwym człowiekiem, odparła Elżusia—ale—dajcie już temu pokój, panie Gracyanie. Zlitowaćbym się może mogła, kochaćbym nie potrafiła... a on żałować może— a poprawić się nie zdoła! Lepiéj się rozdzielić i iść każdy w swoją stronę...

— A no dokąd? spytał Gracyan.

— Mnie to już dziś obojętne—mówiła Elżusia — żyję i żyć będę, bo muszę; niewiele mnie to obchodzi... Będę siedzieć przy rodzicach—albo tam na wiosce... będę patrzeć z rana rychło li wieczór nadejdzie... na wiosnę myśleć prędko li zima i tak... zestarzeję... serce się ścisnie, zaschnie... pamięć przytępi... świat zobojętnieje... życie skończy...

Powtórnie Borodzicz zamilkł... Co miał znowu powiedzieć? nastawać nie śmiał.

Rano Okoń się namyślił dla Elżusi wioskę kupić; posłano po regenta aby punkta przedugodne do transakcyi spisał—znowu dzień zszedł na różnych drobnostkach, bo stary nudziarz był. Nadszedł zaspany stryj Eligi i synowicy winszował... a po cichu z podełba na nią spoglądając, powtarzał swoje: — Herod-Baba.

Wymęczywszy się dobrze, zajrzawszy jeszcze do domu, bo żyto sprzedać było potrzeba dla grosza, którego brakło, Borodzicz dopiero we dwa tygodnie pojechał do Krakowa. Dziembie przykazał był, ażeby, jeśli Zygmunta gorzéj zobaczy na zdrowiu, dawał mu znać, choćby umyślnym, lecz posłańca ani listu nie było.—Nie bez „aprehensyi", jak powiedział sam, dojeżdżał do Krakowa Borodzicz—i cicho pod mieszkanie Piętki bryczce zachodzić kazał. Na palcach przeszedł sieni, po malutku otworzył drzwi... wszedł... cisza grobowa... Nigdzie nikogo... Obracając się na wsze strony, spostrzegł w mroku na reszcie obwiniętego w płaszcz Dziembę, który na troszcze siana na tapczanie chrapał. Drzwi od drugiego pokoju były zamknięte, począł go tedy budzić z wolna, by nie narobić hałasu, godzina była ledwie po zachodzie słońca, lecz sądził, że się oni z kurami spać kładą... Dziemba przetarłszy oczy, zerwał się na równe nogi, a że sen miał okrutnie twardy, musiał się dobrze wysapać, nim oprzytomniał i poznał z kim ma do czynienia. *(d. c. n.)*

KORESPONDENCYA.

Kraków w Marcu 1872.

(*ab*) Gruby tom dzieła p. Józefa Łepkowskiego o *Sztuce* będzie zapewne w *Wieńcu* przedmiotem osobnego sprawozdania, donoszę wam zatém tylko o jego wyjściu. Dzieło to od dawna zapowiedziane zamyka drugą seryę Wydawnictwa dzieł tanich i pożytecznych p. Franciszka Trzecieskiego, które tu przed pięciu laty cieszyło się bardzo pomyślnym bytem i rzadką na nasze stosunki cyfrą 1200 prenumeratorów.

Drugą, również bardzo poważnych rozmiarów księgą, wydaną tutaj w ostatnich czasach, jest pierwszy tom pisma zbiórowego p. n. *Na dziś*. Wydawca p. Jan Waligórski zapowiedział wydanie trzech takich tomów, w ciągu kilku pierwszych miesięcy roku bieżącego. Przyznać należy, iż w Galicyi nie było jeszcze pisma tak obszernych rozmiarów. Tom ten obejmuję 446 str. oszczędnego druku w wielkiéj ósemce. Znajdujemy tu obszerne streszczenie Pamiętników dra Józefa Franka, professora b. uniwersytetu wileńskiego, rozprawę B. F. Trentowskiego o Heglu i Kremerze, dra Ksawerego Liskego o Dziewicy Orleańskiéj, Augusta Bielowskiego o Kadłubku, dra G. Roszkowskiego o Kommunizmie i Socyalizmie, p. J. N. Sadowskiego o drogach handlu zbożowego, oprócz tego wyczerpujący życiorys Aleksandra hr. Przezdzieckiego przez Jana ze Śliwina, Listy z podróży etnograficznéj po Szlązku przez Lucyana Malinowskiego i początek romansu Spielhagena p. n. *Naprzód*. Nadzwyczaj szczegółowa bibliografia, przeglądy literacki i artystyczne, obfita kronika, a wreszcie obszerny list z Warszawy, z którym, o ile nam się zdaje, nie ze wszystkiém zgodzić się można, uzupełniają ten tom pierwszy, drugi zaś znajduje się już pod prassą, i za tydzień lub dwa najdaléj wyjdzie z druku.

Pobieżne to wyliczenie treści daje najlepszą miarę bogactwa i rozmaitości pisma *Na dziś*, którego nieszczęściem, dotąd nie poparła jeszcze dostateczną przedpłatą nasza czytająca publiczność, i jeżeli się to prędko nie zmieni, w takim razie wątpić będziemmy musieli o ożności utrzymania się nadal tego pożądanego i pożytecznego wydawnictwa.

Oprócz tych dwóch ważnych nowości, oprócz jeszcze poematu p. n. *Niewolnik*, trochę ekscentrycznego pod względem zewnętrznego układu, mieszczącego jednakże dosyć bardzo ładnych ustępów, oraz broszury p. Ludwika Masłowskiego p. n. *Prawo postępu*, nic się więcéj nie pojawiło w tych czasach na naszéj niwie literackiéj.

Miałem nadzieję już w tym liście wam donieść, że piśminnictwo nasze dramatyczne wzbogacone zostało o dwa uwieńczone utwory, krą-



Cmentarz Rosa w Wilnie. (122).

żyła nawet wieść, że już ostatecznieę konkurs o nagrody ofiarowane przez hr. Łubieńskiego i dyrekcyę teatru rozstrzygnięty został, do téj chwili jednakże wiadomość ta się nie sprawdziła. Zaraz po Nowym Roku ogłoszono tutaj, że na ręce hr. Łubieńskiego złożone zostały w Warszawie dwie sztuki przeznaczone na konkurs, i komissya zobowiązała się przyjąć je do liczby ubiegających się o nagrodę, jeżeli tylko nadejdą przed ostatecznem rozstrzygnięciem konkursu. Jak widzicie sędziowie pozostawiają dosyć czasu waszym pisarzom, którzy sami sobie winę przypiszą, jeżeli z tego nie skorzystają, i jeżeli znów palma zwycięztwa przy tutejszych dramaturgach pozostanie.

Nietylko samo zbliżające się rozstrzygnięcie konkursu zwraca baczniejszą uwagę na teatr. Inna jeszcze okoliczność każe nam w obecnéj chwili interesować się szczególnie tą instytucyą. We Lwowie, jak już wiecie, spółka, któréj duszą jest p. Jan Dobrzański, redaktor *Gazety Narodowéj*, obejmuje zarząd sceny od 1 Kwietnia i na gwałt rekrutuje towarzystwo. Z naszego towarzystwa teatralnego uległ ponęcie świetnych propozycyj spółki p. Bolesław Ładnowski, pierwszy kochanek, artysta z wielkim talentem, pracowity i sumienny, oraz p. Zboiński, grywający role ojców. Oprócz tego pani Parżnicka opuściła scenę naszą, podając za powód, jak słyszałem, że zbyt mało ról jéj dawano, chociaż widywaliśmy ją w bieżącym roku teatralnym w rolach takich jak Ofelia, Tekla w *Wallensteinie*, hrabia René i innych również pierwszorzędnych. Wspominam o tym motywie usunięcia się pani Parżnickiéj dla tego, że on najlepsze rzuca światło na naszą scenę. Tylko w teatrzykach prowincyonalnych, dyrekcye, którym się trafi przypadkiem jakiś lepszy artysta, dobierają tak sztuki, aby ten artysta miał najczęściéj pole popisu i zasłaniał sobą miernotę innych członków truppy. Na scenach dobrze prowadzonych, zostających pod umiejętnym artystycznym kierunkiem, do jakich bez zaprzeczenia należy scena nasza, zadaniem dyrekcyi nie jest szukać sztuk dla pokazywania tego lub owego artysty, ale szukać artystów do wykonania repertuaru, układanego z ciągłą pamięcią o zadaniu sceny. Dyrekcya, która postępuje przeciwnie, zdaje się na łaskę i niełaskę, stawia byt teatru w zależności od lada kaprysu artysty lub artystki, którym się spodoba odmówić występów i szukać szczęścia gdzieindziéj Powód dyrekcyi dany przez panią Parżnicką jest zatem najlepszym dowodem, że nasz teatr nie stoi temi lub owemi jednostkami, że nie jest areną popisu dla kilku wyjątkowych wyższych talentów, lecz teatrem w całém znaczeniu tego słowa, starającym się o ile podobna, do każdéj roli mieć godnych jéj reprezentantów. Ztąd usunięcie się jednego albo nawet kilku z pomiędzy lepszych członków truppy, nie może go obalić, nie może nim nawet zachwiać. Gdyby dyrekcya budowała swoje nadzieje i widoki nie na ogólnym kierunku sceny, nie na harmonii całości przedstawień, ale na talencie jednostek, gdyby zamiast używać wyższych talentów odpowiednio do ich właściwości i natury, poświęcała im wszystko i wystawiała je na afiszu jako szyld wabiący tém albo owém nazwiskiem, pojmujemy, że ze zniknięciem tego nazwiska z afisza wszystkoby przepadło bezpowrotnie. U nas jednakże pod dzisiejszą dyrekcyą tak nie jest. Z wyjątkiem kilku drobniejszych rzeczy danych na pierwsze występy panny Urbanowiczówny i z wyjątkiem niektórych przedstawień benefisowych, w których benefisanci starają się zazwyczaj o postawienie siebie na pierwszym planie, nikt nie może zarzucić tutejszéj dyrekcyi, żeby którąkolwiek sztukę przedstawiała dla tego, że miała w swoim składzie panią Hofmanową, lub Parżnicką, albo żeby przywabić publiczność nazwiskiem pp. Rychtera, Ładnowskiego, Bendy— czy tam kogokolwiek wreszcie. Przy takim kierunku usunięcie się któregoś z tych artystów nawet tak utalentowanego jak p. Ładnowski, zawsze bolesne, w ostatecznym jednak rezultacie wprowadzić może tylko dyrekcyę w chwilowy kłopot, o ile było nieprzewidziane. Towarzystwo teatralne jest jak orkiestra. Jeśli orkiestra licha, zdolna tylko akompaniować jakiemuś wirtuozowi, który się do niéj przypadkiem zaplątał i gra, dajmy na to, na trąbce, to jest zmuszona grać tylko takie sztuki, w których trębacz może się popisywać, a jak trębacza nie stanie, to już po niéj. W dobréj orkiestrze wszystkie głosy są obsadzone staranniéj, a chwilowy brak jednego z nich i potrzeba zastąpienia go na czas jakiś kim nawet takim, co mu niezupełnie dorównywa, zniewala tylko do unikania przez ten czas rzeczy obliczonych na popissolowy tego jednego; całość jednak idzie daléj jak szła.



Czardasz. (123).

Te kilka słów potrzebne były równie dla was, jak dla Krakowa, gdzie pismo wasze wielu czytelników liczy. Warszawa interesuje się teatram krakowskim, który tylu znakomitości jéj dostarczył, tutaj zaś mamy wielu mniemanych przyjaciół teatru, którzy eksploatują to ustąpienie niektórych artystów, i rozwodząc niby żale współczucia dla sceny, starają się ją zdyskredytować ubolewaniem nad jéj rozpaczliwém położeniem po niepowetowanych niby stratach. Należało zatem przedstawić rzecz we właściwem świetle, ażeby teatr, znajdujący się na drodze rzeczywistego rozwoju, nie ucierpiał, nie tyle w skutek szkody, jaką mu konkurencya sceny lwowskiéj wyrządza, ile w skutek przesadzonego znaczenia, jakie niektórzy wpływowi téj konkurencyi chcą nadawać. Konkurencya ta otwiera tylko p. Koźmianowi nowe pole do okazania, że potrafi sobie poradzić, a kiedyśmy się na nim dotąd nie zawiedli, miejmy nadzieję, że się i teraz nie zawiedziemy.

Oprócz tego mieliśmy tu kilka koncertów, z których najświetniejszy p. Kleczyńskiego, i widowiska passyjne, przedstawiające w obrazach mimicznych wzniosły dramat męki i śmierci Chrystusa. Dawała te przedstawienia jakaś truppa wędrowna niemiecka, i jednych zbudowała treścią obrazów, drugich zgorszyła użyciem takiéj treści za przedmiot spekulacyjnych widowisk. Która strona miała słuszność, nie chcę przesądzać; dość że przedsiębierstwo się udało, bo widzowie jednéj i drugiéj kategoryi bardzo tłumnie uczęszczali na przedstawienia. Kraków jest miastem niewielkiém, wszyscy znamy się doskonale, to też dziwném nam się wydawać musiało, gdyśmy osoby, które dotychczas tylko na drodze z jednego do drugiego kościoła spotkać można było, ujrzeli nagle w téj samej sali, w któréj kilka tygodni przedtém przepędzały noce na tanach maski poprzebierane za arlekinów, pierrotów i debarderów. Takich to cudów dokazuje zręczna spekulacya i przedsiębierczość cudzoziemców!...



Wyjazd wózkami węgierskimi. (124).

DWĄ OSTATNIE SCHRONIENIA

KONDRATOWICZA.

(*Dokończenie. Ob. Nr. 26*).

Cmentarz Rosę na skraju Wilna, wystawiony w załączonym tu wizerunku, założono na początku drugiéj połowy zeszłego stulecia, w miejscowości za czasów pogańskich poświęconéj obchodom na cześć bóztwa Kupały, pod którém prawdopodobnie rozumiano słońce w czasie letniego przesilenia. Cień jakiś tych obchodów przechował się do dziś dnia w tłumnéj a niesfor-

néj wyprawie corocznéj w wigilię św. Jana na dolinę przytykającą do cmentarza i podobnież noszącą nazwę Rosy. Przestrzeń cmentarza pierwotnie dosyć szczupłą, rozszerzyli dokupieniem gruntów ks. Missyonarze, pod których opieką zostawał; następnie opasali go murem i poczęli w roku 1841 budować widniejącą na wizerunku kaplicę murowaną, któréj atoli dla szczupłych funduszów przed kassatą ukończyć nie mogli. Dokończono jéj budowy i przyozdobienia w r. 1850, przeważnie kosztem i staraniem byłego professora Uniwersytetu wileńskiego Jana Waszkiewicza. Cmentarz przeszedł w zawiadowanie zwierzchności duchownéj kościoła archiprezbiteryalnego św. Jana, a chociaż przed kilkunastu laty za staraniem ex-Missyonarzy kks. Erdmana i Eymonta wznowiono nabożeństwo w kościele po-missyonarskim na górze Zbawiciela, zarząd cmentarza już pozostał przy b. świątyni uniwersyteckiéj. Z niéj to odbywały ostatnią podróż na Rosę światła Uniwersytetu: Tomasz Hussaczewski, Franciszek Smuglewicz, Euzebiusz Słowacki, Ferdynand Szpicnagel, Platon Sosnowski, Ignacy Borowski, Feliks Rymkiewicz, Tomasz Życki, Wawrzyniec Gucewicz i wielu innych. Z niéj także w dniu 18 Września 1862 przeniesiono na Rosę szczątki Ludwika Kondratowicza.

Ostatnie trzy lata życia poety upłynęły częścią w domu Bobiatyńskich w Wilnie, częścią na przymuszonéj samotności w Borejkowszczyźnie, zkąd na kilka miesięcy przed zgonem przybył zchorzały do miasta, by pomimo wszelkich wysileń sztuki lekarskiéj złożyć tam skołataną głowę. Działalność jego pisarska z téj epoki mogłaby być wysoce zajmującym przedmiotem badań dla antropologa i psychologa, rozumie się nie skrępowanego modnemi teoryami, pożyczonemi z czwartéj lub piątéj ręki, jak to się u nas praktykuje. Upadek sił fizycznych postępował coraz gwałtowniejszemi kroki, serce krwawiło się nieuleczoną raną, głowa coraz bardziéj chyliła się ku ziemi: tymczasem umysł stawał się coraz głębszy, rysunek obrazowania poetycznego coraz pewniejszy i wyrazistszy, spokój wielkiego uczucia coraz majestatyczniejszy. Dość tu przytoczyć *Niedzielę*, *Dokumenta*, *Dziewiczy wieczór*, i *Melodye z domu obłąkanych*. Znękane ciało domagało się niezbędnego spoczynku, codzienne potrzeby życia wyczerpywały ostatek siły na powszednie roboty dziennikarskie, a duch poety wznosił się coraz wyżéj nad znikomości padołu ziemskiego, coraz szersze zakreślał kręgi i coraz bliżéj widział przed sobą źródło wiekuistéj piękności. Dopóki ręka nie odmawiała posłuszeństwa, widzenia swoje sam przenosił na papier; gdy siły całkiem opuściły, dyktował innym z łoża cierpienia. W ostatniéj chwili, gdy skruszył się rudel rozumu i skołatana łódź umysłu płynęła bez steru, jeszcze nadludzkim wysiłkiem woli zatrzymywał rozpływające się *Dwa Obrazy*...

Po zgonie poety zaszłym dnia 15-go Września 1862 r., Wilno na chwilę stało się widownią przedstawienia ostatniéj kartki *Zgonu Acerna*. Wspaniały obchód pogrzebowy, jakiego tam nie widziano od pogrzebu Jędrzeja Śniadeckiego, świadczył że pieśni „Lirnika wioskowego“ nie pozostały bez echa, że poeta miłości ku „braciom w kapocie i siermiędze“, że śpiewak miłosierdzia i poświęcenia, dobrze spełnił posłannictwo na ziemi. Orszak pogrzebowy nieprzerwaném pasmem zapełniał najdłuższą i najobszerniejszą w mieście ulicę od kościoła św. Jana do Ostréj Bramy. Prześliczne wzgórze cmentarza Rosy przyjęło na wieczny spoczynek popioły człowieka, który przez całe życie nie myślał o wytchnieniu; otoczyło rozkoszną ciszą, któréj szukał daremnie dla podwojenia pracy. Przed kilku laty wdowa zmarłego położyła na mogile skromny kamień z własnemi wyrazami poety: „Skonał grając na lirze”...

PRZEZ TATRY.

Opis wycieczki odbytéj w Lipcu 1871 roku.

TEKST I ILLUSTRACYE

Antoniego Zaleskiego.

(*Dokończenie Ob. Nr. 26*).

Tak zstępowaliśmy przez wijące się zygzakami aleje Szmeksu i przechodziliśmy przed oczyma zaciekawionych Węgrów i Węgierek, przez placyk, na którym właśnie grała cygańska muzyka. Nareszcie doszliśmy do domu, w którym się mieści zarząd zakładu; we drzwiach okazała się znana mi dobrze postać p. Edwarda Blazego rządcy Szmeksu, a Wala stanąwszy przed nim w krótkiéj oracyi przedstawił mu nasze grono i prosił o gościnność. P. Blazy poznał mnie zaraz, i serdecznie powitał równie jak i kilku ze służby, którzy mnie także z wielką kordyalnością przywitali. Udzielił mi zaraz na wstępie dobréj nowiny pokazując telegram od znajomego mi dobrze prof. Vambérego z Pesztu, oznajmujący, że jutro lub pojutrze będzie w Szmeksie; i nie tracąc czasu, kazał nas zaprowadzić do domków, w których znaleźliśmy choć nie wspaniałe, ale czyste pomieszczenie. Ja z p. Bronisławem, trzéj nasi Zakopańscy towarzysze i dwaj Niemcy, dostaliśmy po osobnym pokoju. Tu nastąpiło pożegnanie z naszymi przewodnikami, którzy chcieli zaraz udać się na spoczynek i nazajutrz skoro świt wyruszyć do domu. Obdarowawszy sowicie poczciwych tych ludzi, wyściskaliśmy się z zacnym Walą, któregośmy wszyscy serdecznie pokochali za jego prawdziwie ojcowską opiekę nad nami w ciągu podróży. On też nas żegnał i błogosławił, i obiecał odwiedzić mnie w zimie w Krakowie. Mój młody towarzysz, który się był wybrał trochę nieopatrznie w lekkich kamaszkach, a podarłszy je na skałach, trochę sobie nogi pokaleczył, pragnął tylko łóżka i herbaty; ja zaś jako starszy i doświadczeńszy podróżny, miałem grube myśliwskie obuwie, zatém nogi zupełnie zdrowe. Jedyną rzeczą któréj pragnąłem, a która zawsze po wielkiém utrudzeniu wyborne orzeźwia, była kąpiel; pobiegłem więc do łazienek wziąwszy z sobą świeże odzienie, i w pół godziny potém odrodzony i wyświeżony, przy pierwszym odgłosie dzwonka stanąłem do wieczerzy, gdzie się też spotkałem z częścią naszego towarzystwa, i gdzie wypiwszy na wiwat naszéj szczęśliwie odbytéj wyprawy parę butelek doskonałego węgrzyna, z którym się nigdzie oprócz Szmeksu nie spotykałem, a który nazywa się *Szamorodni*, i zmieszany z wyborną szumiącą wodą mineralną Szmeksu stanowi doskonały napój, poszliśmy następnie do wspólnych sal, w których się goście co wieczór zbierają.

Wypiwszy tam herbaty, poznawszy się z właścicielem zakładu p. Szwarcem, niedługo bawiąc udaliśmy się na spoczynek, do któregośmy wszyscy bardzo tęsknili.

Tutaj muszę powiedzieć słów parę o wyborném i prawdziwie praktyczném urządzeniu zakładu w Szmeksie, któreby niejednemu naszemu z wielu względów za wzór mogło służyć. Zakład ten jest głównie hydropatycznym, a także iż tak rzekę, powietrznym czyli leczącym przez dobre górskie powietrze. Wody bowiem Szmeksu są zupełnie neutralne, i tylko jako wyborny napój jak woda sodowa są uważane. Prawdziwi więc pacyenci przyjeżdżają dla kuracji hydropatycznéj, która tam jest wybornie urządzona i dla powietrza dziwnie zdrowego na téj rzadkiéj pomiędzy zakładami wysokości (3,171 st.), z dodatkiem balsamicznéj woni świerkowego i modrzewiowego lasu prawie w pół góry Łomnicy u krańców wegetacyjnéj strefy. Nie ma tam wsi ani miasteczka, wszystkie domy i domki gustownie w szwajcarskim guście pobudowane, należą do Zakładu. Gość wstępuje od razu pod opiekę zarządu i nie potrzebuje się o nic troszczyć. Stosownie do jego woli przynoszą mu z raną kawę lub herbatę albo idzie ją spożyć we wspólnéj sali lub na werandzie gdzie hydropaci raczą się świeżém mlekiem, i pod którą gra muzyka cygańska. O godz 1-széj głośny dzwon zwołuje wszystkich na obiad, na który pośpieszają rozproszeni po domkach lub blizkich spacerach goście. O 7-méj wieczorem tenże dzwon zwołuje na wieczerzę. Jedno i drugie zastawiane jest w obszernéj sali, gdzie przy czterech ogromnych stołach więcéj stu osób zasiada. Jest to table d'hote po stałych i umiarkowanych cenach, obiad po 1 złr., wieczerza centów 60, rozumie się prócz wina, a za napój stoją dwa szklane dzbany, napełnione wyborną szmeksowską mineralną wodą.

Po wieczerzy, jak mówiłem, goście zbierają się zwykle we wspólnych salach, z których jedna ma parę bilardów i gry różne jako też stoliki kartowe, a druga balowa, fortepian, i w razie żądania gości, muzykę cygańską na zawołanie. Przymusu żadnego, wszyscy się zbierają tak jak cały dzień chodzili, mężczyźni w surdutach, damy w letnich kostiumach i po większéj części w kapeluszach. Tańcują prawie codziennie, a przynajmniéj kilka razy w tygodniu, ale tylko do 10-téj. Nie ma tak jak u nas w Szczawnicy, a więcéj jeszcze w Krynicy, owych ceremonialnych *Réunionów*, niczém się nie różniących od karnawałowych balów, a tak niestosownych w lecie i szkodliwych na zdrowie, gdzie z wielkim kosztem, przymusem i ceremoniałem, damy w balowych strojach, a mężczyźni we frakach i białych krawatach, do 3-ciéj lub 4-téj z rana balują, a ileż to przedtém ambarasu, trudności, składek! a ileż potém plotek i komeraży! a ileż do tego potrzeba przyborów i przygotowań!

Tutaj wszyscy bawią się ciągle, jak kto chce, i są zawsze razem, jedni tańcują, drudzy grają w karty, bilard lub szachy, inni popijają kawę lub piwo, gawędzą, przypatrują się tańczącym, albo przysłuchują się graniu lub śpiewom, któremi się damy popisują przy fortepianie.

Słowem zupełna swoboda. Inaczéj u nas, gdzie, albo zwykle nudzą się po kątach, nie mając miejsca wspólnego codziennie zebrania, albo z wielkim zachodem, i to bardzo rzadko, bawią się wprawdzie, ale ze stratą pieniędzy i zdrowia.

Dalsze wycieczki w góry dobroczynny zarząd na żądanie gości organizuje i urządza, najmuje konie wierzchowe, sprowadza i umawia przewodników, przewiduje i troszczy się o podróżne zapasy, podając na żądanie lub przy wyjeździe, bardzo sumienny i umiarkowany rachunek podług raz przyjętéj taksy. Ala wracam do przerwanéj narracyi.

Nazajutrz z rana zeszliszmy się na kawę na werandzie, gdzieśmy już dużo gości znaleźli. Muzyka cygańska, która po trzy razy w dzień na różnych miejscach przygrywa, grała wtedy pod werandą i przywitała nas ślicznem pot-pourri, w którém motywa węgierskie łączyły się z na-

szemi, a zakończone były mazurem na znany temat i marszem Rakoczego. Musieliśmy okazać grzeczność za grzeczność i złożyć się na muzykantów, i słuchaliśmy daléj ślicznych cygańskich melodyj, tak oryginalnych i charakterystycznych.—Orkiestry cygańskie są zwykle nieliczne, sześciu do siedmiu muzykantów, po większéj części skrzypaków, i koniecznie jedne cymbały. Ludzie ci nie znają nót, grają tak jak słowik śpiewa, z natury, powiem prawie, z instynktu, i to nietylko narodowe węgierskie i cygańskie motywa, ale i walce, polki, a nawet waryacye na temata z oper, które po prostu improwizują, wykonywając to wszystko z tak niesłychanym swego rodzaju artyzmem, że w zdumienie i zachwycenie wprawiają słuchaczy. „Banda“ (tak nazywają orkiestrę), którąśmy słyszeli, była jedną z lepszych w Węgrzech; podróżowała ona nawet po Europie i wszędzie zbierała zasłużone laury. Tańce grają z tak porywającą intonacyą, że opowiadano mi, iż raz w Londynie zaproszeni do grania w czasie obiadu w niezmiernie arystokratycznym i poważnym angielskim domu, kiedy przy wstaniu gości od stołu zagrali walca, Anglicy, ci sztywni Anglicy, nie mogli wytrzymać i puścili się walca po sali. Cóż mówić o czardaszu, w którym zdaje się nietylko nogi, ale i dusza każdego chciałaby wyskoczyć, a w rzewnych melodyach mają coś takiego, że łzy wyciskają ze słuchaczy.

Nasłuchawszy się cygańskiéj muzyki, poszliśmy odwiedzić najbliższe okolice Szmeksu. Zakład ten, jak mówiłem, leży prawie w 3-ciéj części południowego stokuTatrów. Szczyt Łomnicy tuż nad Szmeksem się wznosi. O kilka tysięcy kroków idąc w górę po wygodnych wężykowatych ścieżkach, dochodzi się do strefy alpejskiéj, spotykając najprzód limby a niedługo potém i kosodrzewinę. Niewielka zatém przechadzka może już zaprowadzić w alpejską strefę, a ztąd Szmeks przedstawia punkt ciekawy i rzadko się spotykający dla botaników i naturalistów, i często przez nich bywa odwiedzany. Czarowna dolina zimnéj wody Kolbach, (powinnoby być Kühlbach) przedstawia najpiękniejsze krajobrazy. Potok Kolbachu tworzy kilka przepysznych kaskad, a wspaniała wegetacya lasu i piętrzący się prawie nad głowami olbrzymi szczyt Łomnicy, stanowi prześliczną dekoracyę, jaką rzadko napotykać się daje.

Wśród zabaw przechadzek, wesołego towarzystwa Węgrów i Węgierek, z którymiśmy się za pośrednictwem pp. Blazego i Szwarca zapoznali, a inni nam się nawet sami prezentowali, upłynęło nam bardzo przyjemnie dni parę. Towarzystwo, prawie wyłącznie węgierskie, składało się z różnych warstw społeczeństwa. Byli tam i najbliżsi mieszkańcy wsi i miast Spiża, po większéj części z niemieckiemi nazwiskami; są to zmadziaryzowani Niemcy, ze wzbogaconych osadników niemieckich Spiża pochodzący, właściciele dóbr, przemysłowcy, kupcy i urzędnicy; a chociaż wszyscy dobrze mówią po niemiecku, jednak między sobą węgierskiego używają języka i są węgierskimi patryotami. Daléj spotykasz tu dalszych przybyszów z Węgier, tak mieszkańców miast, lekarzy, adwokatów, i professorów, jak i właścicieli dóbr ze szlachty węgierskiéj. Było także parę rodzin magnackich, z których wspomnę nazwisko hr. Desöffyiego z synem i córką i hr. Sennyeya. Ci prawie jedni, oprócz niektórych uczonych professorów, znali język francuzki; zresztą musieliśmy po większéj części używać niemieckiego języka, bo na nieszczęście chociaż jesteśmy tak blizkimi sąsiadami, rzadko znaleść Węgra umiejącego po polsku i wzajemnie. Zrobiłem kilka bardzo przyjemnych znajomości, do najmilszych policzę P. Herfurtha professora historyi w Kollegium Ewangelickiém w Preszowie (Eperies). Poważny i już niemłody człowiek w węgierskim ubiorze, z długą do pasa brodą, bardzo miły i ukształcony, a głęboką znajomością dziejów polskich nas samych zawstydzał. Przytém geolog i botanik, chodził z nami po okolicznych miejscowościach i bardzo nam mile czas z nim upływał. Mężczyzni, częścią po europejsku, częścią po węgiersku chodzą, mianowicie szlachta z głębi Węgier. Kobiety są po większéj części prześliczne, a jedna z nich, panna Ragalyi, bawiąca tam z rodziną, uderzyła nas niezwyczajną pięknością. Jest to niezawodnie jedna z najpiękniejszych osób, jakie mi się w życiu widzieć zdarzyło; dziwne było podobieństwo jéj do znakomitéj naszéj artystki Modrzejewskiéj, wzrost jéj tylko był nieco wyższy, cera więcéj śniada, oczy i włosy kruczéj czarności, a przytém lat ośmnaście najwięcéj. Zresztą ten sam nieporównany wyraz twarzy, *prawie* taż sama gra fizyognomii i gracya w każdym ruchu przy nadzwyczajném podobieństwie rysów oblicza, wprawiły nas wszystkich w podziw i zachwycenie. W końcu drugiego dnia naszego pobytu, przyjechał oczekiwany Vambéry. Imię jego jest dosyć i u nas znane, przez sławną jego podróż, z któréj wyjątki były w „Wędrowcu“ drukowane; podróżował on między 1863 i 4-tym rokiem po krajach, które przed nim były prawie nietknięte stopą Europejczyka. Zwiedził on Chiwę, Samarkandę, Bucharę, i w ogóle całą tak nazwaną środkową Azyę dokąd się udał głównie w celach filologicznych, a poznawszy już przedtém wiele języków wschodnich, puścił się tam jako pobożny derwisz turecki dla zwiedzenia niby miejsc świętych; inaczéj bowiem gdyby się domyślono, że jest chrześcianinem, według pobożnego zwyczaju tam panującego, byliby mu głowę ścięli. Podróż jego pod tytułem „Podróż fałszywego Derwisza do Azyi Środkowéj“, wielkie w swoim czasie wrażenie w Europie uczyniła. Powitaliśmy się z radością po blizko dwuletniém niewidzeniu, i winszowaliśmy sobie szczęśliwego trafu, który go właśnie na krótki mój pobyt w Szmeksie tamże sprowadził. Zwykł on tam przebywać część lata dla odetchnienia po uczonych pracach swoich; jest on teraz professorem języków wschodnich przy Uniwersytecie w Peszcie, i ciągle zajęty badaniem swego przedmiotu i pracami w dziedzinie literatury i publicytyki.

Nasz towarzysz Krakowiak zaintrygował go w zabawny sposób. Prosił mnie, abym go Vambéremu przedstawił. Czynię to w jezyku niemieckim, mówiąc: „Herr S., Gutsbesitzer aus Krakau”. Aż na raz jak wytnie mój Krakowiak jakiś frazes po turecku, „Gała gała Bisurman, tere mere Ałkoran“, i już niewiem co daléj, aż Vambéry osłupiał. Pokazało się, że Krakowiak wojował gdzieś na Tureczczyźnie i umiał istotnie po turecku.

Przepędziliśmy tedy dwa dni w Szmeksie, gdzie jak wojsko Annibala w Kapui, oddawaliśmy się z rozkoszą wygodom cywilizowanego życia, bo jeśli góry mają swoją poezyę, po śniegach, *piargach* i *pyrciach*, wichrze, chłodzie i głodzie, miło było znaleźć wygodne łóżko, dobry stół i przyjemną rozmowę. Ostatniego wieczoru były tańce w wielkiéj sali gdzie czarujące Węgierki, a mianowicie Panna Rogalyi zachwycała nas, szczególniéj w czardaszu, nieporównaną gracyą, którą umiała wlewać w ten trochę dziki, ale charakterystyczny taniec. Ale wszystkie piękne rzeczy mają swój koniec. Na czwarty dzień o 6-stéj z rana zamówione na nasze żądanie przez p. Blazego dwa wózki węgierskie. zabrały nas pięciu, i przez Kesmark, Belę (Biała), Starą Wieś, zawiozły do Niedzic i Czorsztyna, gdzieśmy sobie byli zamówili łódki. Ponieważ miałem głównie zamiar opisać naszą wędrówkę „przez Tatry“, nie będę się tutaj rozciągał nad opisem naszéj podróży przez dolinę spiską, témbardziéj, żeśmy tym razem szybko ją przebyli nie zatrzymując się nigdzie. Pod Niedzicami, starożytnym zamkiem węgierskiéj rodziny Paloczajów, leżącym nad Dunajcem naprzeciw Czorsztyna, znaleźliśmy zamówione łodzie przez górali szczawnickich w górę rzeki przyholowane, i puściliśmy się w dół Dunajcem, przez Czerwony klasztor i czarowne Pieniny. Ten cudowny kawałek drogi, który najpiękniejszym okolicom Renu nic nie ma do pozazdroszczenia, zbyt często był opisywany i zbyt jest znany licznym gościom corocznie zwiedzającym Szczawnicę, abym potrzebował go opisywać. Powiem więc tylko, że to zakończenie naszéj podróży godnie uwieńczyło jéj całość. Spienione nurty Dunajca zaniosły nas bystro aż do Szczawnicy, gdzieśmy zastali u brzegu najprzód zwykłą bramę tryumfalną, którą dzieci trzymają nad głowami gości a następnie wózki, które nas odwiozły do zakładu kąpielowego, gdzieśmy wrócili równo w tydzień po naszym wyjeździe, uradowani z naszéj wycieczki, któréj wrażeniami chciałem się podzielić z czytelnikami „Wieńca“.

Antoni Zaleski.

KALECY

Komedya w 3-ch Aktach

przez

Zygmunta Sarneckiego.

(Dokończenie Ob. Nr. 27).

RADECKI (cofając się).

Ty szalejesz!

HENRYK.

Bez świadków, zrozumiesz mnie pani lepiéj... Odejdź mój drogi... twoja obecność to jakby oliwa na żar... Przypominasz mi moją słabość i poniżenie. Bo ta kobieta wiodła mnie na pasku jak dziecko, aby rzucić twarzą w błoto.

RADECKI.

Henryku—bądź mężczyzną!

HENRYK.

Jestem mężczyzną, tylko serca niemam bo go ta pani wyrzuciła na balkon swojéj facyatki.

STEFANIA (która spokojnie i z dumą spoglądała na Henryka—na ostatni wyraz jakby chcąc rozjaśnić tajemnicę podstępuje naprzód parę kroków).

Co to ma znaczyć?

HENRYK.

Zaraz to pani wytłomaczę. Tylko jego tu niebędzie (popycha Radeckiego ku drzwiom w głębi).

RADECKI. (n. str. ze smutkiem)

Wśród tych rozhukanych namiętności czuję że garb mój rośnie (głośno). Odchodzę bó obecność moja gniew twój podwaja. Zlituj się jednak, i jéj i sobie ubliżasz (n. str. wzruszając ramionami) I to ich miłość!!—(wychodzi).

Scena V.

STEFANIA i HENRYK późniéj KADZIŃSKI.

HENRYK (zamknąwszy drzwi powraca)

Jesteśmy sami.

STEFANIA

Teraz zapewne powiesz mi co to wszystko znaczy... Wprawdzie przyzwyczaiłeś mnie do wybryków swojéj dziecinnéj zazdrości, ale dotąd nigdy niezaszedłeś tak daleko i to w obecności innych...

HENRYK

Ha! ha! ha! znowu ten ton dobrotliwéj matki karcącéj krnąbrne dziecię.

STEFANIA

Bo jesteś tylko zepsutem dzieckiem... pierwszy lepszy zawód pozbawia cię woli i wiary, konwulsyjny i bezsilny gniew tobą miota, za chwilę przepraszać mnie będziesz i u nóg mych płacząc leżeć!...

HENRYK

Wyzywasz mnie?!

STEFANIA

Tyś wywołał tę burzę... i gdybym cię niekochała i nieżałowała w téj chwili... gotowabym się brzydzić tobą.

HENRYK

Ha!... Sama tego chciałaś... Twój chłód twój spokój, obwiniaj a nie mnie zatem... Téj nocy...

STEFANIA

Cóż?

HENRYK

Jakiś mężczyzna wszedł po drabinie przez balkon, do twego sypialnego pokoju... i sama może okno otworzyłaś...

STEFANIA

Co mówisz?—Kto?

HENRYK

Odziany był w mundur...

STEFANIA (z oburzeniem i wybuchem)

Kłamiesz niegodnie!

HENRYK

Przysięgam na honor i moją nikczemną miłość żeśmy go widzieli razem z Radeckim... Widziałem na własne oczy...

STEFANIA

A! to okropnie... patrz, mam klucz od mego

HENRYK

Znowu!!...

STEFANIA (na kolanach)

To zlituj się przynajmniéj nad moją przybraną matką, która cierpiąca ciosu tego niezniesie... Przewiduję jakiś szatański podstęp, choć go nierozumiem... Ja silna, boję się drżę... o nią... nie o siebie. Ona mnie tak kocha...

HENRYK

Godna opiekunka godnéj wychowanicy, wzajemnie niemacie sobie nic do wyrzucenia... przekazała ci swą przeszłość... Nieodbiegłaś pani daleko od tradycyi... Czem ona była, tem myślisz teraz zostać!

STEFANIA

Oh! milcz, milcz... bo cię znienawidzę.—

HENRYK

Dziś tylko nienawiści twojéj pragnę... (dobijanie się w górze) Słyszysz gość nocny niecierpliwi się... gdzie klucz... muszę mu pójść otworzyć...



Pieniny. (125).



Wylądowanie. (126).

HENRYK

Tak!... bo ja tobą tylko pogardzać mogę.

STEFANIA

Henryku uważaj na swoje słowa... jedno więcéj a wieczny rozbrat między nami. Znasz mnie, ja wszystko zniosę, ale raz odepchnąwszy od siebie nigdy niepozwolę ci powrócić.

HENRYK

Śmiesz mi grozić?!

STEFANIA

Odejdę... i już cię nigdy więcéj widzieć nie będę.

HENRYK (chwytając ją za rękę)

Ala za nim to nastąpi, wysłuchasz prawdy, która mi pali serce i usta.

STEFANIA

Słucham.

HENRYK (z rozpaczą załamując ręce)

Ach! jak jéj to powiedzieć!

STEFANIA

Wahasz się— nieśmiesz wyrzec słowa.

pokoju, całą noc mnie w nim niebyło, przepędziłam ją przy łóżku choréj hrabiny. (Stukanie do drzwi w górze).

HENRYK (wskazując na schody)

Cicho... słyszysz?

STEFANIA

Nie niesłyszę... niechce nic słyszeć... jestem niewinna... (głośne dobijanie się do drzwi w górze na kręconych schodkach) Ach! Co to ma znaczyć?!... (postępuje parę kroków ku schodkom).

HENRYK

Zniecierpliwił się i pragnie drzwi wyłamać... Zaczekaj, zaczekaj pójdę ci otworzyć...

STEFANIA (przerażona i nieprzytomna zatrzymuje go).

Stój!... Niepojmuję co się dzieje ze mną... Czy to sen... czy zmora jaka fatalna mnie dręczy... Kto mnie chce zgubić, kto wplątał nas w czarodziejskie koło jakiejś piekielnéj intrygi... Niepójdziesz!.. Jeśli dla mnie nic uczynić nie możesz... jeśli moją godność depczesz nogami jak szalone dziecko...

STEFANIA (wstrzymując go).

Niepójdziesz... niechcę żebyś poszedł... Powtarzam żem niewinna, ale to stukanie tam, przeraża mnie, bo jeśli jest niebezpieczeństwo to nam obojgu zagraża.

HENRYK

Puść mnie, puść pani, bo zapomnę, że mam do czynienia z kobietą.

STEFANIA

Nie kobieta przed tobą stoi ale człowiek, którego honor znieważyłeś, którego serce rozdarłeś... Nazywałeś mnie Stefanem otoż Stefan stawia ci czoło! Stefan, który za chwilę może przestanie nawet być twoim przyjacielem, tak udręczeniem bezmyślnem zabijasz w sercu jego miłość! Chcesz tam iść-pójdź... ale razem zemną...

HENRYK

Nie, sam się przekonam kogo tam kryjesz. Precz! (popycha ją tak gwałtownie, że ta upada w tył kilka kroków w głębi naprzeciw schodków, uderzając się głową o stojące krzesło).

Dokończenie w dodatku.

Do niniejszego numeru dołącza się dodatek.

DODATEK DO „WIEŃCA" Nr. 28-go.

STEFANIA

Boże! (mdleje).

HENRYK

Ach! (postępuje kilka kroków, wołając) Stefanio!... (pochwili)! Cóżem uczynił! (Zakrywa twarz rękami i łkając upada na fotel stojący na pierwszym planie sceny)

KADZIŃSKI

(W tem samem odzieniu co w pierwszym Akcie, wyłamawszy drzwi pokazuje się na górnych stopniach kręconych schodów). Zamknęła mnie w nowem więzieniu... Znużony spałem aż rok cały. Czułem że dnie i miesiące upływają a zbudzić się niemogłem. Ten sen pokrzepił mnie jednak... Sił mi przybyło za stu ludzi, z olbrzymem mógłbym się mierzyć. Wyłamałem drzwi... Gdzie jestem?! (Spogląda na dół) Ona! ona!...

Mój nóż! (wyjmuje go z zanadrza) Mam go... daléj do dzieła! (Szybko ale cicho zbiega ze schodów— pochyla się nad Stefanią i uderza ją nożem) Pomściłem się!

HENRYK (który posłyszał stąpanie Kadzińskiego, odwraca się w chwili, kiedy ten nożem uderza Stefanię, zdjęty przerażeniem nie może z początku przemówić słowa postępuje z wyciągniętemi rękoma naprzód-raptem gwałtowny krzyk wyrywa mu się z piersi).

Ha! rozumiem. To odzienie. Stój zabójco!

KADZIŃSKI

Zapóźno! Rzuca mu nóż pod nogi, który mimowolnie Henryk podnosi)... Cicho!... milcz! (z palcem na ustach szybkim krokiem wybiega przez drzwi w głębi)

HENRYK

Ah! Chyba ja śnię! Boże! ulituj się nademną!.. (zbliża się do Stefanii ciągle trzymając nóż w ręku z boleśnym krzykiem) Nieżyje!... i to ja jestem jéj mordercą! (podnosi ją sadza na krześle i u nóg upada).

Scena VI.

CIŻ SAMI i HRABINA.

HRABINA

(w rannem ubraniu na kulach wychodzi z prawych drzwi, postępuje z wysileniem i upada przy krześle na którem zemdlona i ranna Stefania).

Co to za krzyk?!.. Co za hałas! Moje dziecko... Zabita!!.. kto ją zabił?!.

HENRYK (bezwiednie)

Ja!

Scena VII.

CIŻ SAMI, RADECKI, ŁAŃSKI, STAWNICKI, KAMERDYNER i JOZEF.

HRABINA (do wchodzących)

Słyszycie, przyznaje się do zabójstwa mego dziecka... Chwytajcie zbrodniarza...

RADECKI

Ach! pojmuję. (ze wstrętem patrząc na Henryka) O! smutny bohaterze! (biorąc za rękę Stefanję) Przebacz... wszyscyśmy ukarani... i jak okropnie.

HRABINA

Moje dziecko... moje biedne dziecko!...

RADECKI

Pani... (podaję rękę hrabinie, sadza ją na drugiem krześle obok Stefanii i oboje zajmują się trzeźwieniem)

JOZEF (zbliżając się do swego pana i chcąc go podnieść—spostrzeg a nóża i wyjmuje mu go z ręki)

Mój nóż!

ŁAŃSKI

Twój nóż w ręku twego pana!.. Jak rodzoną siostrę kocham...

HRABiNA

Mój najdroższy Stefanie... otwórz oczy, przemów...

RADECKI

Serce bije mocno... krew należy zatamować!... Hej! po doktora!...

KAMERDYNER

Przyjechał z posługaczem szpitalnym i siostrą miłosierdzia.

RADECKI

Wołaj! (kamerdyner wybiega).

HENRYK (prawie obłąkany u nóg Stefanii)

Ty mój aniele przebaczysz mi, nieprawdaż... Ja cię tak kochałem...

HRABINA

Precz, precz morderco!

ŁAŃSKI (do Stawnickiego).

No-to szczęśliwie trafiliśmy na obiad— z pasztetem!

STAWNICKI.

A ja okrutnie jestem głodny!

(ZASŁONA SPADA).

Akt III-ci.

Pokój jadalny— Troje drzwi z których jedne w głębi. Okno z boku. Umeblowanie przyzwoite, bufet, stół w środku i krzesla. Łański Stawnicki przy stole kończą jeść obiad. Kamerdyner im usługuje.

Scena I.

ŁAŃSKI, STAWNICKI i KAMERDYNER

ŁAŃSKI (obcierając serwetą usta)

Jak siostrę rodzoną kocham miły dom... bardzo lubię taki porządek... obiad był wyborny jakby nic się niestało...

STAWNICKI (dopijając wina z kieliszka).

I wino dobre.

ŁAŃSKI.

A kawy dostaniemy?

KAMERDYNER

Jest.—Służę panom

STAWNICKI

Wiesz co mój Janie ty jesteś perłą kamerdynerów.

KAMERDYNER

Dziękuję wielmożnemu panu. Człowiek zestarzał się na służbie to o obowiązkach swoich zawsze pamięta.

STAWNICKI

I dobrze robisz... obowiązek święta rzecz... Prawa gościnności powinny być pierwszemi przedwszystkiem na świecie.

ŁAŃSKI (skończywszy kawę powstaje)

No, teraz jak rodzoną siostrę kocham, jestem spokojniejszy... (do Stawnickiego) Chcesz cygaro?

STAWNICKI

Nieodmawiam. Cygaro po obiedzie i po czarnéj kawie to jak plia w djabełku po dziesięciu kartach.

ŁAŃSKI

A ty lubisz dziesięć kart a po nich plię.

STAWNICKI

Ba! figlarzu... niby także nieprzepadasz za nią.

ŁAŃSKI

Hm! hm! jak czasem... (do kamerdynera) A waryat?

KAMERDYNER (sprzątając ze stołu)

Złapany.

STAWNICKI

Gdzie?

KAMERDYNER

W ogrodzie.

STAWNICKI

Ale czy go teraz dobrze zamknęli, bo ja jestem niezmiernie nerwowy...

ŁAŃSKI

Powiedz raczéj że się boisz.

STAWNICKI

Jak się waryata niebać?!

KAMERDYNER

Zdaje się że to nie pan Henryk tylko on poczęstować musiał pannę Stefanię nożem...

ŁAŃSKI

Ja się tego zaraz domyśliłem... jak rodzoną siostrę kocham... moja krew do przelania krwi nigdy niebyła zdolna.

STAWNICKI

Widzisz więc... z takim co ma fiu, fiu w głowie niemożna żartować.

ŁAŃSKI

Biedny Henryk!

STAWNICKI (do kamerdynera)

Co się z nim stało?

KAMERDYNER

A jest—w gościnnym pokoju, chodzi wielkiemi krokami od ściany do ściany i wygląda, z przeproszeniem wielmożnych panów... jak Piotrowin kiedy z grobu wyszedł, przyzwany powtórnie na świat przez Ś-go Stanisława (sprzątnąwszy wychodzi).

ŁAŃSKI

Żal mi go bardzo.

STAWNICKI

Kogo filucie-Piotrowina?

ŁAŃSKI

No, no-bez konceptów bardzo proszę to moja krew przecie!...

STAWNICKI

Ta co w bułankach płynie... bo widzę po twojem rozczuleniu że je tanio kupisz.

ŁAŃSKI

Nieżartuj bo moje bułanki ostatni raz zaprzągnięte, mogą połamać ressory w twoim powoziku.

STAWNICKI

A!... kiedy się gniewasz... to daj łapę i zgoda.

ŁAŃSKI

Możeby pójść tam i pocieszać, hę?!

STAWNICKI

My go niepocieszym, a sami tylko namartwimy się Bóg wie na co!...

ŁAŃSKI

Ba! po obiedzie!

STAWNICKI

Dla tego właśnie że po obiedzie—potrzeba być spokojnym.—

Scena II.

CIŻ SAMI i RADECKI.

RADECKI (wchodzi z lewych drzwi)

Cóż?

ŁAŃSKI

Nic niewiemy.

RADECKI

Doktór?...

STAWNICKI (wskazując na drzwi prawe)

Dotąd niewyszedł.

RADECKI

Kadziński schwytany... To on w napadzie szaleństwa zranił pannę Stefanią...

STAWNICKI

Na pewno?

RADECKI

Przed chwilą opowiedział mi całą scenę Henryk...

ŁAŃSKI

A jakże on?

RADECKI

Spokojniejszy... W takiém usposobieniu w jakiem się znajduje nie trudno mi było wziąść przeważny wpływ nad nim... Zresztą nadzieja w młodém sercu nigdy nie umiera, umiałem ją rozbudzić... Byle tylko Stefanii nie groziło rzeczywiste niebezpieczeństwo... Jakoś to będzie!...

ŁAŃSKI

Ba! miłostki to mniejsza, ale w majątku źle. Ruina, bezład, żadnych rachunków, o wypłacie assekuracyi ani myśleć. Przepędziliśmy tam ze Stawnickiem cały ranek... i jak rodzoną siostrę kocham powiadam z głębokim smutkiem, a po naoczném i sumienném przekonaniu się, niema dla niego ratunku, bankrut kompletny.

RADECKI

Otóż ja na to wam powiem. Jesteście ślepi i basta... żaden z was niedostrzegł miejsca w którém zbawienie Szarówki leży.

ŁAŃSKI!

A ty na swoim garbie to zbawienie przyniosłeś.

STAWNICKI

Eh! tylko byście się zawsze kłócili... (z zajęciem do Radeckiego) Powiedz jakim sposobem może się on uratować?

RADECKI

To mój sekret.

ŁAŃSKI (odciągając na stronę Stawnickiego.)

Pewno żartuje z nas a ty go słuchasz!...

STAWNICKI (wyrywając mu się.)

Daj pokój... (do Radeckiego.) No kochany prezesie. Szczerze przecież my jesteśmy jego przyjaciołmi...

RADECKI

Nie mogę.

STAWNICKI

Przynajmniéj zapewnij słowem honoru, że ratunek niehybny, jak dwa razy dwa cztery.

RADECKI.

Daję wam na to moje słowo honoru.

STAWNICKI (n. str. do Łańskiego.)

Słyszałeś?

ŁAŃSKI

Słyszałem

STAWNICKI

Cóż ty na to?

ŁAŃSKI (przekonany)

Ba! ba!

STAWNICKI

Ja jemu wierzę

ŁAŃSKI

I ja także

STAWNICKI (po chwili)

Chodźmy pocieszyć Henryka

ŁAŃSKI

Chodźmy.

STAWNICKI

Wypada to zrobić krewnemu.

ŁAŃSKI

I przyjacielowi (podają sobie ręce i idą ku lewym drzwiom).

RADECKI

Dokąd?

STAWNICKI

Do Henryka.

RADECKI

Nie nudźcie go tylko bardzo

ŁAŃSKI (z gniewem)

Jak nie potrafimy sami to poprosimy Ciebie (wychodzą na lewo)

Scena III.

RADECKI (sam)

Idźcie, idźcie!... Co za para dobrana. Jeden drugiemu pomaga do znoszenia z cierpliwością swego kalectwa, a patrząc na nich z bajkopisarzem powtórzyć można „niósł ślepy kulawego dobrze im się działo!“ Spokojny jestem o nich nic mi tam szkodzić nie zdołają. Wyzułem go z wszelkiéj woli... podpisał mi cyrograf... (wskazuje na papier który wyjął z zanadrza.) Muszę go uratować dla niéj i dla siebie trochę... Zadatek przyjął... zerwać kontraktu nie może... Biedny chłopiec jedna straszna chwila odjęła mu władzę czucia i myślenia... Podniosłem go, jak się podnosi zegarek rzucony na ziemię, w którym upadek ruch wstrzyma; nakręciłem i idzie... Jak długo i czy regularnie chodzić będzie, Bóg jeden wie, ale zrobiłem co mogłem... choć czuję że mnie od tego serce boli, bo kocham tamtą (wskaznje na prawe drzwi) jak on... może nawet mocniéj od niego.

Scena IV.

RADECKI i LEKARZ

RADECKI

Doktorze... mów... Co myślisz?!

LEKARZ

Żelazna natura, panie dobrodzieju.

RADECKI

Jest więc nadzieja?

LEKARZ

Téj na chwilę nie brakło.

RADECKI

Rana zatem...?

LEKARZ

Nic nieznacząca... chociaż nie ręczę jeśli uprze się dziś chodzić i zatrudniać gospodarstwem, czy nie straci władzy w ręku. Nóż przeciął ścięgna ramienne, obandażowałem dobrze panie dobrodzieju... ale cóż natychmiast po opatrzeniu postanowiła się ubrać i ani moje ani hrabiny prośby zdania jéj zmienić nie mogły.

RADECKI.

Tak, tak... znam ją wola jak stal hartowna.

LEKARZ

Długie omdlenie było wynikiem mocnego uderzenia głową o jakiś kąt ostry.

RADECKI

Potrącona upadła na wznak pod nogi stojącego opodal krzesła.

LEKARZ

O widzi pan dobrodziéj... mówiłem. Noga od krzesła... przedmiot ostro ścięty...

RADECKI

I powiadasz doktorze, że postanowiła się ubrać?

LEKARZ

Nawet się już ubrała. Będziesz pan mógł sam się przekonać. — A Kadziński czy schwytany?

RADECKI

Już.

LEKARZ

Idę go zobaczyć i wyprawić do szpitala. Ciekawy panie dobrodzieju egzemplarz, bardzo ciekawy, furiat *delirium furibundum.* U nas na wsi to się nie często trafia (postępuje ku drzwiom w głębi)

RADECKI

Ale nieopuszczasz nas jeszcze konsyliarzu? Panna Stefania może Cię potrzebować.

LEKARZ

Nie, nie... nieodjadę, bo spodziewam się gorączki która przyjść musi, a wtedy radą nieradą położę w łóżko i basta (wychodzi.)

Scena V.

RADECKI i HRABINA

RADECKI (spostrzegłszy hrabinę)

A! pani... jaki bolesny wypadek!... (podaje jéj rękę i pomaga usiąść na fotelu.)

HRABINA

Co ja przecierpiałam... ale cierpienie zrobiło mi dobrze... (ze wzruszeniem w głosie) Modliłam się gorąco... i to pierwszy raz od bardzo dawna... Czułam dopóki ona była zemdlona, że opieki i pomocy tylko tam w górze szukać należy... Teraz jestem spokojniejszą choć się mocno obawiam...

RADECKI

Czego pani hrabino... lekarz zapewnił mnie że niema najmniejszego niebezpieczeństwa

HRABINA

Niebezpieczeństwa o życie niema, ale może zostać kaleką... Przytem ten upór... Ubrała się wstała i koniecznie chce się zaraz widzieć z Henrykiem...

RADECKI (Smutnie)

Kocha go... niemożna się dziwić zatem...

HRABINA

Prosiła mnie abym go kazała zawołać...

RADECKI

Pójdę spełnić jéj życzenie.

HRABINA

O pan jesteś prawdziwie dobrym... bo widzę że ty ją kochasz także, a zapominasz o sobie i o jéj szczęściu myślisz.

RADECKI

Żeby to tylko było jéj szczęściem! (odchodzi)

Scena VI.

HRABINA i STEFANIA

HRABINA (smutnie)

I on wątpi tak jak ja... Ach! jéj przyszłość bardzo niepewna, a tak mnie zawojowała, że sprzeciwiać się nieśmiem, nie mogę... a może nawet i niemam prawa.

STEFANIA (wchodzi bardzo blada ręka podtrzymywana na szarfie w drugiéj książka którą kładzie na stole całując w czoło hrabinę).

O czem tak zadumana?

HRABINA

O tobie mój drogi Stefanie.

STEFANIA (z uśmiechem spoglądając na swoją rękę).

O Stefanie inwalidzie.

HRABINA

Bóg mi cię uratował, chciałabym żeby Bóg dał ci przyszłość pewną i spokojną.

STEFANIA

Posłała pani hrabina po pana Tworzyckiego?

HRABINA

Radecki był tak uprzejmym że poszedł go poszukać.

STEFANIA

Dziękuję.

HRABINA

Gdybym śmiała dać ci jedną radę...

STEFANIA (całując rękę hrabiny z rozczuleniem)

Tysiąc najdroższa opiekunko. Słucham i jeśli serce i głowa pozwolą spełnię wszystkie.

HRABINA

O! jeśli tylko mnie pieścisz pewno nic niezrobisz... a wiesz jak cię kocham i jak srogie przebyłam chwile w życiu... Doświadczenie opłaciłam nieszczęściem, którego rozumieć nawet niemożesz, chociaż niekryłam przed tobą mojéj przeszłości, niechcąc skraść podstępnie twego przywiązania. Wolałam sama wyspowiadać się przed tobą aniżeli widzieć cię kiedyś rumieniącą się za mnie pod spojrzeniem obcych ludzi, którzyby ci dali poznać jak nisko upadłam... Świat zapomniał o tem dawno a może i przebaczył, ale cóż mi po sądzie i ułaskawieniu świata... Twego tylko przębaczenia żądałam...

STEFANIA (z uczuciem)

Moja najdroższa Matko,... niemiałam i niemam ci nic do przebaczenia... Kocham cię jak córka... Tobie winna jestem siłę i moc mego charakteru, boś ty niesprzeciwiała się aby zacna i rozumna kobieta, któréj powierzyłaś wątłe dziecko, wychowała mnie w zdrowych zasadach rozwijających umysł, a ciału dających zdrowie i hart męzkiéj natury... Niezasępiaj czoła — jestem szczęśliwa!

HRABINA (z radością)

O! modlitwo dzisiejsza!

STEFANIA

Modliłaś się?

HRABINA

Przy twojem łóżku... i gorąco.

STEFANIA

Za mnie?

HRABINA

Powiesz żem egoistka... ale modląc się za ciebie o sobie myślałam, boś ty jedynem mojem szczęściem.

STEFANIA (z uśmiechem — całując ją)

O! tak! — to straszny egoizm!.. ale miałam usłyszeć radę czy przestrogę...

HRABINA

Czy ty bardzo kochasz Henryka?

STEFANIA

Jeszcze niemogę na to w téj chwili odpowiedzieć.

HRABINA

A widzisz, niechcesz być szczerą... Tamten drugi...

STEFANIA

Który?

HRABINA

Radecki—kocha cię całą duszą... ja się znam na tém...

STEFANIA (mimowolnie jakby do siebie)

Szlachetny człowiek!

HRABINA

Bardzo — zaparł się samego siebie dla twego szczęścia.

STEFANIA (j. w.)

Wiem, wiem.

HRABINA

Gdybyś mnie chciała usłuchać.?!.

STEFANIA

Domyślam się czego sobie życzysz.

HRABINA

W takim razie zastanów się moje dziecko... Jeden moment w życiu stanowi o całéj przyszłości... Od chwili dzisiejszéj los twój zależy. Namyśl się głęboko zanim nią rozrządzisz.

STEFANIA

Myślałam o niéj nawet wtedy kiedy wam się zdawało że byłam nieprzytomną.

HRABINA

I cóż... jakeś postanowiła?!

STEFANIA

Poczekaj a zobaczysz.

HRABINA (ze smutkiem)

Widzę że niechcesz skrócić mego niepokoju... pozostaniesz dawnym Stefanem.

STEFANIA

Dawnym nie—ale tym samym; bo na co nam się zmieniać. Charakter mój dało mi życie i Bóg... ale cicho! nadchodzą.

Scena VII.

CIŻ SAMI, HENRYK i RADECKI

HENRYK (bardzo blady i zmieniony)

Staję przed tobą pani jak winowajca. Przychodzę przepraszać, przychodzę błagać...?

STEFANIA (witając go przyjaźnie skinieniem głowy)

O co?

HENRYK (po chwilowéj walce z samym sobą)

O przebaczenie.

STEFANIA

Niewiem doprawdy co mam panu przebaczyć.

HENRYK

O! pani nierozdzieraj mi serca szyderstwem, przyszedłem prosić cię...

STEFANIA

Ja nieszydzę, widzisz, jestem spokojną jak zawsze spokojniejszą może... bo i ja także mam zanieść do pana prośbę...

HENRYK

Ty, ty!... Zlituj się nademną. Czytasz pewno na mojéj twarzy jak cierpię i jak cierpiałem, jak pogardzam sobą, jak się czuję niskim w obec ciebie.

STEFANIA (podając mu rękę)

Żal mi pana.

HENRYK (chcąc pocałować podaną mu rękę)

Dziękuję ci.

STEFANIA (cofając rękę)

O! niedziękuj pan...

RADECKI (do hrabiny)

Odchodzę.

HRABINA

Zostań.

STEFANIA (która dosłyszała)

Pozostań pan... Tak od roku a bardziéj jeszcze od wczoraj zżyliśmy się razem że prawie stanowimy jedną rodzinę... prawda panie Henryku?

HENRYK (podając rękę Radeckiemu)

On jest moim prawdziwym przyjacielem.

STEFANIA

I moim... nieprawdaż?

RADECKI

Pani!

STEFANIA

Ale wróćmy do naszéj rozmowy, bo między nami musi się wszystko wyjaśnić. Pan panie Henryku wyrzucałeś mi często, że czytuję zbyt wielu pisarzy francuzkich, zdaje mi się tylko że jednego Balzaca niepotępiałeś zupełnie. (bierze książkę leżącą na stole).

HENRYK

O! błagam nieprzypominaj mi...

STEFANIA

I to także wahanie... Mówiłeś z przekonania nawet niejednokrotnie miałeś słuszność... Otóż czytając dziś zrana ulubionego autora znalazłam zdanie które mnie zdziwiło. (przerzuca stronnice) Patrz pan tu... założyłam umyślnie kartkę... (czyta) „dramata życia niewypływają z okoliczności ale z uczuć” (mówi) Teraz dopiero rozumiem jaka w tych wyrazach głęboka prawda.

HENRYK (n. str.)

Niepojmuję jéj a drżę cały.

STEFANIA

Pomiędzy nami, okoliczności niepostawiły żadnéj materyalnéj zapory. Poranku od wieczoru żaden straszny wypadek nieodgrodził, bo moja ręka... widzisz pan... to bagatela... Uczucia tylko przybrały taki charakter że niemożemy być dla siebie tem czem byliśmy niedawno.

HENRYK

Co pani mówisz?!

STEFANIA

Tylko prawdę... teraz niekocham pana i proszę abyś mi zwrócił dane ci przezemnie słowo.

RADECKI (n. str.)

Ach! Czy ja śnię!

HRABINA (n. str.)

Boże! dzięki ci!

STEFANIA (do Henryka który upadł na krzesło)

Odważnie! po męzku... Inaczéj być niemoże. Pozostaję nadal najlepszą pańską przyjaciółką, ale kochać pana uczuciem gorętszem niejestem wstanie. (wskazując na serce) To co tu było wypaliło się i to bez śladu, popioły tylko zostały. Godzinę temu grzebałam w nich szukając choćby jednéj iskierki żeby rozdmuchać dawny płomień nie nieznalazłam.

HENRYK

Litości!

STEFANIA

Litość dla dzieci—ludziom należy się prawda.

HENRYK

Pani—ja chcę być dzieckiem, abyś mnie tylko nieopuszczała!...

STEFANIA

Niepodobna.. Ta moja miłość była jak tyfoidalna gorączka, zrodziła się sama niewiem z czego, opanowała mną, poddałam się jéj i mniemałam że mnie z niéj nic niewyleczy. Ale kiedy doszła do najwyższéj mocy, pan sam wywołałeś kryzys...

HENRYK

Wiem żem winien... ale przysięgam...

STEFANIA (bardzo cicho—wskazując na hrabinę)

Te kilka gwałtownych i niesprawiedliwych wyrazów o niéj... ten zupełny brak zaufania... ta słabość w gniewie którą tylko nieumiejący patrzeć mógłby wziąść za siłę woli bez której nierozumiem mężczyzny, zabiły w mojem sercu wszelkie uczucia, i dziś powiadam panu jestem jak po tyfusie... osłabioną, pomięszaną szybkością zmiennych wrażeń, ale zupełnie zdrową.

HENRYK

Ach! jak cierpię!

STEFANIA

Potém com powiedziała, honor pański i godność zmuszają cię zwrócić mi dane panu przyrzeczenie.

HENRYK

Niezostawiasz mi żadnéj nadziei.

STEFANIA

Żadnéj.

HENRYK

Niepozostaje mi więc jak z rozpaczą w duszy, opuścić ten dom i nigdy do niego niewrócić.

STEFANIA (łagodnie)

O! nie... ale przyjeżdżać tu będziesz jak przyjaciel, który mi przebaczył i zrozumiał żeśmy

niestosowni na parę, że niczem innem dla siebie być niemożemy, jak siostrą i bratém.

HENRYK (powstaje gwałtownie, idzie do hrabiny i bierze ją za rękę)

Żegnam panią. (obraca się do Stefanii) Zwracam pani słowo! (wybiega przez drzwi środkowe).

RADECKI

Biedny! pójdę za nim...

STEFANIA

Nieobawiaj się pan o niego... Znam go dobrze. Nie przedmiot miłości ale miłość stanowi potrzebę jego życia... Nowa go zrobi szczęśliwym, nowa go uzdrowi. (usiada na krześle obok hrabiny) Ach! Zmęczyłam się i osłabłam.

HRABINA

Moje dziecko to poświęcenie może nad twoje siły?!

RADECKI (z drugiéj strony)

To może żal... jeszcze czas pójdę go zawołać.

STEFANIA

Nie... wszystko co powiedziałam było prawdą. Przestałam go kochać... Od chwili w któréj ujrzałam go tak mało władającym sobą prawie wstrętnym stał się dla mnie.

HRABINA

Oh! kiedy tak to jestem prawdziwie szczęśliwą... Patrz ten co obok nas stoi, czy mu niedasz nadziei?!...

RADECKI (z wyrzutem)

Pani hrabino!

STEFANIA (zwracając się do niego)

Rozumiem... i dziękuję za tę delikatność... ale jéj się pan niedziw. Ona mnie tak kocha! (po chwilowéj walce z osłabieniem) Mroczy mi się w oczach, kolory tęczy migają mi przed źrenicami... zdaje się że znowu omdleję... (pochyla głowę na poręcz krzesła).

Scena VIII.

CIŻ SAMI LEKARZ ŁAŃSKI i STAWNICKI

RADECKI (wołając z przestrachem)

Doktorze!

LEKARZ

A co niemówiłem?! (podaje jéj do powąchania sole w flaszeczce).

STEFANIA (przychodząc do siebie)

Oh!... lepiéj mi.

LEKARZ (pocichu do otaczających)

To upór panie dobrodzieju... Może pozostać kaleką na całe życie, stracić władzę w ręku...

STEFANIA (która dosłyszała)

Nie rób konsyliarzu z tego sekretu... ja się nieobawiam. Nawet powiem może to i lepiéj...

RADECKI (z czułem zajęciem)

Dla czego pani?

STEFANIA (z uśmiechem patrząc na niego)

Bo podobno dwa kalectwa złączone z sobą znoszą się wzajemnie.

RADECKI (całując jéj rękę z radością)

Ach!

STEFANIA (wskazując na Łańskiego i Stawnickiego)

Przykładem ci dwaj... jaka doskonała para (do hrabiny) Cóż kontenta jesteś?

HRABINA.

Niech ci Bóg błogosławi.

STEFANIA (łagodnie)

Ale musisz pan czekać... może długo.

RADECKI

Ile tylko rozkażesz.

ŁAŃSKI (n. str.)

Jak rodzoną siostrę kocham nierozumiem co się to dzieje.

STAWNICKI

Wesele, figlarzu, wesele, ale nie dla nas bo tę sobie bierze... a tamtego nam złapał!

KONIEC

JESZCZE SŁÓWKO w kwestyi Paremiografii.

Otrzymaliśmy od pana Wilhelma Stanisława Bayera sprostowanie tyczące się jednego z przysłowiów ze zbioru p. Weryhy Darewskiego streszczonego w „Wieńcu" przez pana Leonarda Sowińskiego. Zamieszczając tę poprawkę w interesie prawdy zwracamy uwagę szanownego jéj autora że wszelkie zarzuty mogą tylko stosować się do p. Darewskiego który oceniał krytyczne komentarze Lipińskiego i sam zbieraniem i tłumaczeniem przysłowiów zajmuje się.

W N-rze 11-m Wieńca z r. b. pan L. Sowiński z wielką erudycyą i znajomością Paremiografii rozbierał krytycznie przysłowia ś. p. Lipińskiego w oddruku z Biblioteki Warszawskiéj dn. 25 Sierpnia 1852 r. wydane, a między innemi i Nr. 66 „Gęba z Otręba (sic) a pysk z Mościsk"—ale tu w błąd wprowadzony został prostą omyłką drukarską, bo zecer zamiast Obręba ustawił Otręba wziąwszy literę *t*, zamiast *b*: powinno być „Gęba z Obręba a pysk z Mościsk".

Zbierając od lat kilkudziesięciu przysłowia, przypowieści i szczególne wyrażenia ludowe, sami Lipińskiemu pomiędzy kilku tysiącami innych i to przysłowie daliśmy i jeżeli Lipiński nasze nazwisko jako właściciela dóbr Obrąb wymienił, to właśnie dla tego, że te miejscowości znał i że o Obrębie a nie o otrębach jest mowa w przysłowiu. Lipiński napisał Obrębą, a zecer zmienił na Otręba ale przez wielkie O. Pan Sowiński już samowolnie napisał otręba przez małe *o*, a czyż kto mówi np. z jednego otręba? zawsze się używa liczby mnogiéj, z otrąb lub otrębów. Radzi także pan Sowiński, jakoby dla foremności opuścić M i zamiast Mościsk napisać „ościsk" a któż to tak obcina przysłowia dla swego widzimisia, mogą się one z razu zdawać ciemne, ale przypadek lub rozbiór krytyczny z czasem je wyjaśni, jak to obecnie ma miejsce.

Raczy nas także pan Sowiński, objaśnić gdzie czytał lub słyszał przysłowie Gęba z otręba a pysk, z oscisk.

Zbieramy sumiennie gawędy i przysłowia nowsze i dawne, te echa z czasów łzawnic i popielnic, których odnalezione czerepy w proch się jak wszystko na tym świecie rozsypują... Daliśmy także Lipińskiemu przed samą jego śmiercią dwa zeszyty rękopismów p. Cejnowy z Pruss, z przysłowiami Kaszub i Pomorza. Zbierałem także będąc inżenierem przy rz. Wiśle, przysłowia flisackie, *) znamy się więc na tem i znani jesteśmy autorom i archeologom tutéjszym.

Nie bylibyśmy się i teraz odezwali, gdyby pan Sowiński nie zrobił zarzutu znanemu z prawości i pedanteryi przyjacielowi naszemu ś. p. Lipińskiemu że szukał urojonych miejscowości... Otóż stanęliśmy w jego obronie:

Dobra Obrąb i wieś cząstkowo-szlachecka Mościska o pięć mil od Warszawy, a o milkę od pierwszéj stacyi Kolei Petersburgskiéj Tłuszcz, są odległe, łatwo sprawdzić przecież to nie Ukrajna... nie za górami... Całe Stanisławowskie zna to prastare przysłowie, aż nadto niestety prawdziwe—w dawniejszych czasach nie na samych gębach się kończyło, jeszcze po r. 1815 miewały miejsce formalne zajazdy w kontrowersie leśnym Obręba i Mościsk z Jadowem w ówczas Królewszczyzną—(opowiadaliśmy o nich ś. p. Au. Wil. który jeden z podobnych opisał ale tu nie wszystkie się komicznie kończyły, bo nie peruki lub ogony końskie ale głowy ludzkie spadały!) Po sto fur i więcéj najeżdzało kontrowers, dla utrzymania posessyi następowały bójki, kończące się nieraz śmiercią. Nawet za czasów naszego tam zamieszkania przed 36 laty zabił jeden Mościcki krewniaka swego Anzgarego Mościc, kamieniem, a w r. 1848 gdy za niesforność wcielono gminę Mościcką do naszéj w Obrębie, Józef Mościcki zabił w kłótni kosą na łące rodzonego brata swego Walentego. Byliśmy z urzędu na obdukcyi, dopieroż były gęby w robocie... z tego dówód że to nieurojone przysłowie i miejscowości, i tak na-wet dobry krytyk jakim jest p. Sow. winien być ostrożnym w sądzeniu.

Zatem dla należnego szacunku zmarłemu Lipińskiemu i miłości prawdy, jako stary zbieracz mamy prawo też podwójną omyłkę niniejszém sprostować. Wilhelm Stanisław *Beyer*.

Pani **H. z CH.** Wiersze „Marzenia w wiosce rodzinnéj" i „Marzenia nad Bugiem"—drukowane nie będą.

Panu **Juliuszowi.** Wiersz „Opis cmentarza" drukowany nie będzie.

Pannie **Romanii B.** Wiersz „Postanowienie" drukowany nie będzie.

*) Wartoby to wyszukać dla układu i krytycznego rozbioru, podobno rękopisma po ś. p. Lip. znajdują się u siostry jego pani Lewockiéj.

Wydawca, Hipolit Orgelbrand. Дозволено Цензурою, Варшава 23 Марта (4 Апрѣля) 1872 г. **Redaktor,** Mieczysław Orgelbrand Mag. Pr. i Adm.

w Drukarni S. Orgelbranda Synów, w Warszawie ulica Bednarska Nr. 20.